

Karpacki Przegląd

kultura przyroda turystyka

Czasopismo bezpłatne
ISSN 2544-9028
Nr 3(60) 2025

Społeczno-Kulturalny



O Wołochach i pasterstwie,
czyli „sałasze” w sanockim skansenie

Coś po sobie zostawię
Rozmowa Aleksandrem Maślejem

Huculska Madonna z Krzyworówni

Dynastia inżynierów

spis treści

DR HUBERT OSSADNIK

O WOŁOCHACH I PASTERSTWIE, CZYLI „SAŁASZ”
W SANOCKIM SKANSENIE.....3

WOJCIECH WESOŁKIN

BIESZCZADY I BESKID NISKI. WĄTKI PASTERSKIE W LITERATURZE
I ŹRÓDŁACH ARCHIWALNYCH.....7

ANDRZEJ POTOCKI

ŁEMKOWIE Z PODOLA 10

JOLANTA DANAK-GAJDA

COŚ PO SOBIE ZOSTAWIŁ. ROZMOWA ALEKSANDREM MAŚLEJEM 12

DR JUSTYNA CZĄSTKA-KŁĄPYTA

MUZYKA – NAJSTARSZY JĘZYK ŚWIATA NA PRZYKŁADZIE
HUCULSKIEJ TREMBITY..... 17

JOLANTA DANAK-GAJDA

POŁĄCZYŁA NAS MIŁOŚĆ DO KARPAT. ROZMOWA Z DARIĄ
I TOMASZEM KOŚKAMI 19

ANDRZEJ POTOCKI

HUCULSKA MADONNA Z KRZYWORÓWNI..... 22

DR ŁUKASZ BAJDA

DYNASTIA INŻYNIERÓW 25

JOZEF JURČIŠIN

UNIKALNY VLKOLÍNEC TO NIE SKANSEN – MA SWOICH MIESZKAŃCÓW 28

ANNA ŚLIWA

Z BIEGIEM DUNAJCA, Z WIDOKIEM NA TRZY KORONY
– O POCZĄTKACH PIENIŃSKIEJ TURYSTYKI..... 31

AGNIESZKA MAJBA-POCHWAT

FENOMEN KARPACKIEGO JARMARKU POKAZALI
W RYMANOWIE-ZDROJU..... 34

LIDIA WIDAK

IV OGÓLNOPOLSKI FESTIWAL UNIwersYTETÓW LUDOWYCH 37

KRZYSZTOF STASZEWSKI

METSOVO (FOTOREPORTAŻ)..... 39



Popołudniowy udój owiec w koszarze na hali u Jarka Buczka, fot. K. Staszewski

Na okładce: baciówka Jarka Buczka, fot. K. Staszewski

Karpacki
Przegląd
Społeczno-Kulturalny

Wydawca:



FUNDACJA
INSTYTUT
REGIONALNY

Fundacja Instytut Regionalny
Bystre 39, 38-606 Baligród
instytut.regionalny.fundacja@gmail.com



Stowarzyszenie na Rzecz Rozwoju
i Promocji Podkarpacia „Pro Carpathia”
ul. Rynek 16/1, 35-064 Rzeszów
info@procarpathia.pl

ISSN 2544-9028
Czasopismo bezpłatne
nr 3(60) 2025

Redaktor prowadzący: Krzysztof Staszewski
Redakcja: K. Staszewski, A. Pieniążek, M. Pociąg, L. Widak, D. Zielińska
Skład, oprac. graficzne: KORAW Piotr Koczub
Druk: JW Projekt Nakład: 1000 egz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych
i zastrzega sobie prawo redagowania nadesłanych tekstów.
Kopiowanie i rozpowszechnianie publikowanych
materiałów wymaga zgody Wydawcy.
© Copyright by Stowarzyszenie „Pro Carpathia”

www.procarpathia.pl
www.instytutregionalny.eu
www.kulturakarpac.pl
www.karpaty.turystyka.pl
www.skarbypodkarpacie.pl
www.podkarpackiesmaki.pl
www.zielonepodkarpacie.pl
www.szlakwołoski.eu
www.karpackiszlakwina.pl



KOMITET
DO SPRAW
POŻYTKU
PUBLICZNEGO



Narodowy Instytut Wolności
Centrum Rozwoju Społeczności Obywatelskich

Sfinansowano ze środków Narodowego Instytutu Wolności –
Centrum Rozwoju Społeczności Obywatelskiego
w ramach Rządowego Programu Wspierania Rozwoju
Uniwersytetów Ludowych na lata 2020–2030



Rządowy Program
Wspierania Rozwoju
Uniwersytetów Ludowych
na lata 2020–2030
Uniwersytety
Ludowe

dr Hubert Ossadnik

O Wołochach i pasterstwie, czyli „sałas” w sanockim skansenie

Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku w sposób kompleksowy ukazuje wszystkie formy kultury materialnej i duchowej grup etnograficznych, które do 1947 roku zamieszkiwały zwartym obszarem południowo-wschodnią Polskę. W narracji dotyczącej etnogenezy tych grup szczególne znaczenie przypisuje się zagadnieniu kolonizacji wołoskiej. Gospodarka pasterska, a także inne formy działalności gospodarczej i kulturowej polskich i ruskich grup górskich, a szerzej całych Karpat, pozostają nierozdzielnie związane z kolonizacją wołoską oraz wpływami Wołochów na proces kształtowania się karpaccich grup etnograficznych.

Można przyjąć, że obecność Wołochów w sanockim skansenie odzwierciedla się w prezentacji poszczególnych grup etnograficznych. Termin „Wołosi” odnosi się do zromanizowanej ludności o bałkańsko-rumuńskim rodowodzie etnicznym. Wzmianki o Wołochach pojawiają się w źródłach już w X wieku, a od XIII wieku są oni notowani w Królestwie Węgierskim. W XIV wieku znaczna ich liczba osiedliła się na terenach dzisiejszej Rumunii, w Maramureszu, skąd, przesuając się na północ i zachód, dotarli na Zakarpacie, a następnie na ziemie ruskie Rzeczypospolitej.

Szczególne warunki dla osadnictwa po północnej stronie Karpat zaistniały po inkorporacji Rusi, po 1340 roku. Król Kazimierz Wielki nadawał przywileje wołoskiemu rycerstwu, a jego następcy kontynuowali tę politykę, obdarzając kniaziów i wołoskie rody szlacheckie licznymi nadaniami ziemskimi w Karpatach Wschodnich¹. Od końca XIV do końca XVI wieku fala osadnictwa przesuwała się stopniowo na zachód, obejmując Bieszczady, Beskidy oraz tereny pogórzy. Wołosi pojawiali się również w innych regionach Polski, a nawet sięgając po Morawy.

Trwający blisko trzy wieki proces kolonizacji wołoskiej pozostawił trwałe ślady, zarówno w nazewnictwie gór, przełęcz i pól, jak i w słownictwie związanym z gospodar-

ką pasterską. Kolonizacja ta stworzyła fundamenty, na których ukształtowały się etnograficzne grupy polskie, ruskie i słowackie.

Wołosi zarządzili się tzw. prawem wołoskim, którego najważniejszym elementem była „dań barania” – danina na rzecz właściciela ziemi w postaci baranów (5 od 100) oraz sera wołoskiego. Oprócz tych świadczeń istniały również inne obowiązki i powinności feudalne. Wołosi byli wyznania prawosławnego, a w sprawach sądowych podlegali władzy kniazia – lokalnego przywódcy, pełniącego funkcję zbliżoną do sołtysa.

Na terenach zasiedlanych przez Wołochów początkowo dominował element wołoski, jednak z biegiem czasu coraz większy wpływ zaczęła mieć miejscowa ludność ruska i polska. W rezultacie w środkowej i wschodniej części Karpat doszło do całkowitej rutenizacji Wołochów. Z kolei w zachodniej części Karpat proces ten przybrał formę polonizacji i słowakizacji.

Element wołoski odróżniał się antropologicznie od miejscowej ludności słowiańskiej. Władysław Pulnarowicz, analizując historię powiatu turczańskiego, zauważył, że różnice te były widoczne jeszcze w XX wieku. Pisał:

„Osiedli tu Wołosi przyjęli z czasem mowę i obyczaje rusińskie. Pozostało jednak po nich i z ich mowy rumuńskiej wiele śladów do dnia dzisiejszego. Ludność wielu wsi naszego powiatu to prawdziwy typ południowców, romański. Smağła cera, kruczy włos, wzrost słuszny, pociągła twarz, widocznie różni się od reszty tutejszej ludności pochodzenia słowiańskiego, u której wzrost niższy, twarz okrągła i jasny włos².”



Owce w sektorze pasterskim,
fot. M. Krackowski, 2024



Jachówka, Jaworzyna Krynicka, stajnie letnie, fot. R. Reinfuss, 1934

W Karpatach Zachodnich Wołosi odegrali kluczową rolę w formowaniu się wspólnot kulturowych górskich grup polskich, ruskich i słowackich. Działo się to poprzez przekazywanie lokalnej ludności elementów górskiej gospodarki pasterskiej, słownictwa oraz wzorców kulturowych. Wołosi przybywający w te rejony byli już w dużej mierze zesławizowani, a cały proces ich osadnictwa w Karpatach trwał blisko pięć wieków.

Kolonizacja wołoska nie ograniczała się jedynie do pasterzy. Znaczącą jej część stanowili także bojarzy wołoscy, czyli przedstawiciele szlachty. Oba nurty tej kolonizacji – pasterski i szlachecki – prawdopodobnie przebiegały równolegle. Po północnej stronie Karpat proces ten rozpoczął się w XIV wieku, a szczególnego znaczenia nabrala za panowania Kazimierza Wielkiego, kiedy to zasiedlano Wołochami m.in. Ruś Czerwoną, w tym ziemię sanocką i przemyską. Była to świadoma polityka polskich monarchów, którzy chętnie przyjmowali osadników potrafiących posługiwać się bronią. W efekcie na pograniczu kształtował się specyficzny pas o charakterze wojskowym. Nie był to jednak model unikalny, podobne rozwiązania stosowali również królowie węgierscy w odpowiedzi na zagrożenie ze strony Imperium Osmańskiego. Dla porównania, w księstwach Mołdawii i Wołoszczyzny służba wojskowa była obowiązkowa dla wszystkich mężczyzn, niezależnie od pochodzenia społecznego. To właśnie powszechny obowiązek obrony kraju przyczynił się do sukcesów tych państw w powstrzymywaniu tureckiej ekspansji.

We wspomnianych księstwach często dochodziło do walk o władzę, a przegrani bojarzy szukali schronienia na ziemiach polskich. Najbardziej znanym z nich był Stefan (Szczepan) Wołoszyn Rybotycki herbu Sas, właściciel wsi Rybotycze. To właśnie od niego, a ściślej od jego potomków, wywodzi się znacząca część szlachty herbu Sas.

Kolonizacja wołoska miała zatem podwójny charakter: z jednej strony szlachecki, z drugiej pasterski. Choć udział

bojarów był istotny, to jednak licznie przeważali Wołosi-pasterze, którzy wywarli decydujący wpływ na etniczne i gospodarcze oblicze Karpat.

Gospodarka pasterska i hodowla obecna w badaniach Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku znalazła swoje odzwierciedlenie w realizacji sektora pasterskiego w sanockim Parku Etnograficznym.

„Sposób zagospodarowania sektora pasterskiego ma w przybliżeniu odtworzyć wygląd polany śródlęśnej, na której znajdują się zabudowania i urządzenia pasterskie rozmieszczone w ich naturalnym układzie, zbliżonym do tego, który prezentuje zdjęcie polany Jachówka w Beskidzie Krynickim. Górna część polany przeznaczona zostaje na zespół pasterski bieszczadzki (Boj-

kowie), zaś środkowa i dolna – na budynki pasterskie z Beskidu Niskiego i Krynickiego (Łemkowie).” – słowa te formułował prof. Roman Reinfuss w 1973 roku, a zostały one zamieszczone w *Projekcie zagospodarowania sektora pasterskiego w Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku*.

Założenia tej koncepcji, jak również późniejszy *Studialny Plan Zagospodarowania Sektora Pastersko-Hodowlanego*, opracowany przez mgr inż. arch. Halinę Nowinę Konopczyńską, zostały zrealizowane dopiero w latach 2015–2024, kiedy to powstał sektor pasterski w obecnym kształcie. Warto jednak przypomnieć, że idea utworzenia sektora



Kapliczka koło Rychwałdu, fot. R. Reinfuss, 1932

pasterskiego pojawiła się już wcześniej, bo w 1958 roku, podczas I Rady Muzealnej, na której nadano naukowy kierunek rozwoju muzeum. Już wtedy planowano, by sektor ten powinien być integralnie związany z materialnym i niematerialnym dziedzictwem Bojków i Łemków, którzy do 1947 roku zwarcie zamieszkiwali południowo-wschodnią Polskę. Zarówno Bojkowie, jak i Łemkowie to potomkowie ludności wołosko-ruskiej, związanej z kulturą pastersko-hodowlaną, charakterystyczną dla całego obszaru Karpat.

Ludność wołosko-ruska stała się podstawą etnogenezy polskich i ruskich grup etnograficznych, zamieszkujących Karpaty od Czeremoszu po Olzę, a nawet dalej. Szczególną rolę w tym procesie odegrała gospodarka pasterska, zwłaszcza chów owiec, a w przypadku Bieszczadów także wołów, która uzupełniała skromne dochody z ekstensywnego rolnictwa.

Wypasy odbywały się na pastwiskach, które zwykle nie były zbyt oddalone od wsi (krowy bliżej wsi, owce na dalszych pastwiskach). Owce wypędzano na wypas w dniu św. Jura (23 kwietnia/6 maja), zaś krowy – pod koniec maja. Po żniwach zwierzęta sprowadzano z powrotem do wsi. Bydło jadowe, woły i owce przebywały na pastwiskach do jesieni, co najmniej do dnia św. Michała (29 września/11 października).

Gospodarka sąłasnicza, obejmująca wypas i przetwórstwo mleka, była uciążliwa i wymagała ciągłej obecności pasterzy, czuwających nad bezpieczeństwem stad zagrożonych przez leśne drapieżniki, oraz codziennego dojenia. Na początku sezonu owce dojeno trzy razy dziennie, później dwa razy. Mleko albo znoszono do wsi, albo przetwarzano bezpośrednio na miejscu.

Zwierzęta, owce, krowy i woły, często wypasano razem, szczególnie jeśli należały do jednego gospodarza. Na noc zaganiano je do koszar – specyficznego, ogrodzonego miejsca, częściowo chroniącego przed drapieżnikami. Pasterze nocowali przy koszarze, zazwyczaj przy ognisku, czasem w przenośnej budce zwanej kołębą (lub kolibą). Na pastwiskach znajdowały się także stajanki, niewielkie, sezonowe budynki, zazwyczaj jedno- lub dwuwentylacyjne, z poddaszem wyłożonym sianem, służącym za poślanie dla pastucha.

W sektorze pasterskim Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku zrekonstruowano tradycyjne obiekty związane z sąłasnictwem. Znajdują się tam: kołęby, koszary, stajanki, studzienka oraz płytkie poidło dla owiec. Całość uzupeł-

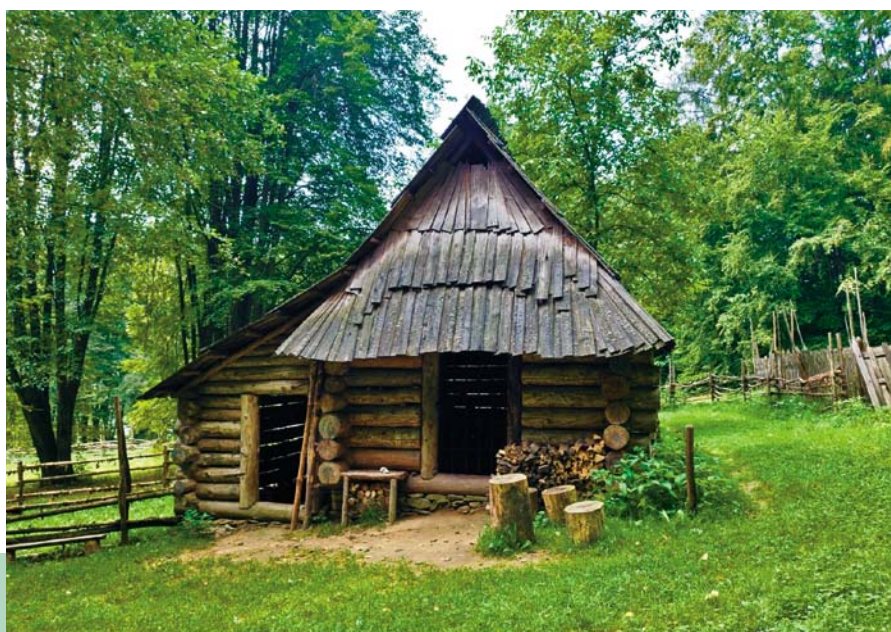


Szałas pleciony, Rychwałd, fot. R. Reinfuss, 1932

nia kamienna kapliczka, charakterystyczna dla pasterskiego krajobrazu. W jednej z wyposażonych stajenek prezentowana jest tradycyjna obróbka mleka na sery podpuszczkowe – odtworzono tam palenisko zabezpieczone kamieniami, kocioł do gotowania mleka, półkę na sery, a także umieszczono naczynia pasterskie, jakich używano dawniej w Karpatach³.

Przez dziesięciolecia koncepcja budowy sektora pasterskiego w Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku, zaproponowana w 1973 roku przez prof. Romana Reinfussa, ulegała różnym modyfikacjom. Mimo to, dzięki odpowiedniemu doborowi obiektów oraz eksponatów związanych z gospodarką pasterską, udało się stworzyć niepowtarzalny obraz pasterstwa, a tym samym ukazać zarówno materialne, jak i niematerialne dziedzictwo Bojkowszczyzny i Łemkowszczyzny.

Powstanie sektora pasterskiego ma dla muzeum ogromne znaczenie edukacyjne. Narracja towarzysząca zwiedza-



Stajanka z Wołowca, rekonstrukcja, fot. A. Skarbowska, 2025



Wnętrze stajanki, fot. A. Skarbowska, 2025

niu sanockiego skansenu opiera się w dużej mierze na prezentacji gospodarczej strony życia wsi, czyli kultury materialnej. Dzięki nowej ekspozycji zwiedzający mają możliwość zapoznać się nie tylko z tradycyjnymi formami rolnictwa, ale również z hodowlą zwierząt, muzeum prowadzi bowiem własną hodowlę owiec. Umożliwia to lepsze zrozumienie całego procesu, od wypasu, przez dojenie, po wyrób serów. W wybranych okresach organizowane będą także pokazy strzyżenia owiec i produkcji serów, co dodatkowo uatrakcyjni przekaz.



Otwarcie sektora, z prawej dyrektor muzeum Marcin Krowiak, z lewej „wojewoda wołoski” Paweł Królikowski, fot. M. Kraczkowski, 2024

Podobnie jak w innych regionach górskich, również na Bojkowszczyźnie i Łemkowszczyźnie pasterstwo i hodowla stanowiły istotne uzupełnienie rolnictwa, ale zarazem były potężnym czynnikiem kulturotwórczym. Szczególną atrakcją dawniej i obecnie pozostaje redyk, czyli urozyste wypędzanie owiec na pastwiska, oraz osod, czyli ich spęd jesienią z górskich pastwisk. Oba te wydarzenia były i są otoczone bogatą obrzędowością, której rekonstrukcja pozwala przybliżyć zwiedzającym kulturę pasterską w jej pełnym wymiarze.

Sektor pasterski stanowi dziś w Parku Etnograficznym ekspozycję stałą, wzmocnioną przekazem kulturowym. Zgodnie z zamysłem prof. Reinfussa, który badania nad pasterstwem prowadził już w okresie międzywojennym, celem było przypomnienie, że pasterstwo wśród Bojków i Łemków trwało nieprzerwanie przez stulecia. Wypasy i redyki to nie tylko tradycje znane z Tatr czy innych części Beskidów, lecz również

trwały element kultury Bieszczadów i Beskidu Niskiego.

Nowopowstały sektor pasterski oraz zarysowana wcześniej znacząca rola Wołochów w kolonizacji i zagospodarowywaniu obszarów górskich, wpisują się w misję naukową i edukacyjną Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku, a zarazem dopełniają jego unikalny charakter jako instytucji dokumentującej i chroniącej dziedzictwo Karpat. ■

Przypisy

1. P. Kłapyta, *Wołosi – nomadzi Bałkanów* [w:] *Pasterstwo w Karpatach. Tradycja a współczesność. Szkice*, red. M. Kiereś, Kraków 2013, s. 29-39.
2. W. Pulnarowicz, *U źródeł Sanu, Stryja i Dniestru. (Historia powiatu turczańskiego.)*, Turka n/S. 1929, s. 19.
3. Do terminologii związanej z wyrobem serów weszło dużo takich wołosizmów jak: podyszar – półka w szałasie, gdzie uklada się sery; gieleta – cebrzyk do którego doł się owce; bundz, bryndza czyli rodzaje serów. Oczywiście tych karpatozizmów wołoskich jest znacznie więcej i związane są gospodarką, ale również z botaniką np. jafer – borówka, czetyrna – gałązki jodłowe, którymi karmi się owce w zimie oraz licznie w oronimach: kiczery, gronie, grapy czy magury i wiele innych.

Bibliografia (wybór)

1. Czajkowski Jerzy, *Historyczne, osadnicze i etniczne warunki kształtowania się kultur po północnej stronie Karpat*, „Zeszyty Sądecko-Spiskie”, t. I, Nowy Sącz 2006.
2. Czajkowski Jerzy, *Studia o Łemkowszczyźnie*, Sanok 1999.
3. Jawor Grzegorz, *Osady prawa wołoskiego i ich mieszkańcy na Rusi Czerwonej w późnym średniowieczu*, Lublin 2004.
4. Kłapyta Piotr, *Wołosi – nomadzi Bałkanów* [w:] *Pasterstwo w Karpatach. Tradycja a współczesność. Szkice*, red. M. Kiereś, Kraków 2013.
5. Oczko Anna, *Pasterska wspólnota językowa*, [w:] *Bacowie i Wałasi. Kultura pasterska na pograniczu polsko-słowackim*, red. Ewa Kocój, Józef Michałek, Cieszyń b.r.w.
6. Olbert-Blin Danuta, *Pasterstwo u Bojków i Łemków*, [w:] *Bacowie i Wałasi. Kultura pasterska na pograniczu polsko-słowackim*, red. Ewa Kocój, Józef Michałek, Cieszyń b.r.w.
7. Pulnarowicz Władysław, *U źródeł Sanu, Stryja i Dniestru. (Historia powiatu turczańskiego.)*, Turka n/S. 1929.
8. Wyrostek Ludwik, *Ród Dragów-Sasów na Węgrzech i Rusi Halickiej*, Kraków 1932.

Bieszczady i Beskid Niski. Wątki pasterskie w literaturze i źródłach archiwalnych

O roli jaką odegrało pasterstwo w Bieszczadach i Beskidzie Niskim świadczą m. in. zachowane rękopisy oraz literatura dotycząca tego dominującego w górach zjawiska gospodarczego. Na potrzeby artykułu wybrano kilkanaście cytatów z mniej znanych publikacji oraz źródeł archiwalnych, które traktują o wpływie pasterstwa na rozwój społeczny i ekonomiczny oraz obraz kulturowy wspomnianych terenów karpackich na przestrzeni od XV do XX w.¹

Zastosowanie prawa wołoskiego opartego o pasterskie zasady gospodarowania pozwoliło na intensyfikację wykorzystania górskich obszarów Bieszczadów i Beskidu Niskiego stanowiących własność królewską oraz własność szlachecką. Proces osadniczy na prawie wołoskim rozpoczął się w ziemi sanockiej na przełomie XIV i XV w. Otrzymujący patenty lokacyjne dla wsi górskich tzw. zasadzcy, wywodzili się m. in. spośród wołoskich wojewodów (wajdów). Dokumenty z lat 70. XIV w. dotyczące ziemi sanockiej wspominają Ładomira Wołoszyna, który na mocy przywileju lokacyjnego księcia Władysława Opolczyka z 1377 r., miał się podjąć założenia wsi w miejscu zwanym Hodle Pole, obecnie Hadle Szklarskie.

W 1376 r. wspominany był Nyan – właściciel Niebieszczan koło Sanoka, określany jako „woyвода Walachorum”. Zasadzcy, w dokumentach określani kniaziami lub sołtysami, mieli doprowadzić miejsce wskazane w akcie lokacyjnym do zaludnienia osadnikami gwarantującymi dochody dla właścicieli zasiedlanych gruntów, czyli szlachty lub skarbu królewskiego. Dochody miały pojawić się po upływie tzw. wolnizny, czyli okresu przewidzianego na zagospodarowanie się osiedlanych kmieci. W aktach lokacyjnych przewidywano najczęściej 24 lata wolnizny, ale też z góry określano daniny kmiecie, jakie miały obowiązywać po jej upływie – głównie w postaci owiec, wieprzów i serów wołoskich. Przykłady tak określonych powinności znajdujemy m. in. w aktach lokacyjnych Radoszyc, Smolnika nad Ośłą i Komańczy:

Akt lokacyjny wsi Radoszyce – 1441 r. „[...] gromada zaś winna dać 12 dużych serów”; „Kmiecie posiadający owce lub kozy winni dawać 5 od 100 sztuk i 3 duże sery”.



Widok na Holicz w powiecie łurczańskim (1335 m. n. p. m.)

Pocztówka ze zbiorów Biblioteki Cyfrowej POLONA

Akt lokacyjny Smolnika z 1511 r. „Każdy kmieć po upływie wolnizny 24 lat winien [...] dawać ser wołoski, [...] dziesiątego wieprza i dwudziestego barana...”

Akt lokacyjny Komańczy z 1512 r. „Każdy kmieć po upływie 24 lat wolnizny winien z pół łanu [...] dawać ser wołoski, [...] dziesiątego wieprza i dwudziestego barana albo od 100 trzy jagnięta, ...”

Także kary wymierzano w hodowanej trzodzie. W sanockich Aktach i Grodzkich i Ziemskich z 1443 r. zachował się wpis informujący, że: „Sąd grodzki na rokach wołoskich w Sanoku skazał mieszkańca Odrzechowej za zgwałcenie dziewczyny na 35 baranów dla niej i 34 barany dla zamku sanockiego”.

Do realizacji nakreślonych przywilejami lokacyjnymi obowiązków zasadzcy wsi (kniazowie-sołtysi) – dobierali osoby i rodziny znające zasady organizacji gospodarstwa pasterskiego zw. sałasz. Osadnicy ci pochodzili najczęściej z węgierskiego regionu Maramuresz, z Mołdawii, ale też z Rusi. Ich asymilację ułatwiałoby wyznanie prawosławne, którego byli wyznawcami. Potwierdzeniem konieczności doboru osadników znających zasady organizacji sałazu jest zapis z aktu lokacyjnego dla wsi Rzepedź wystawionego w 1526 r. przez starostę sanockiego Mikołaja Wolskiego, który określa powinności kmieci wobec sołtysa, wymieniając m.in.: „Kmiecie (...) winni też przez 6 tygodni stawiać sałasz owczy na gruncie sołtysim celem nawożenia i dawać 2 sery sołtysowi za pastwisko”.

Informację o prowadzonym wspólnie gospodarstwie pasterskim, które obrabowali zapewne węgierscy zbójnicy –

¹ W cytatach zachowano pisownię oryginalną.



Préfuki, lata 30. XX wieku, fot. J. Treszka

tołhaje, znajdujemy w aktach sanockiego sądu grodzkiego z 1596 r. Dotyczy ona Czystohorbu koło Komańczy: „Tym horbianom pobrano w ten dzień szałas, szkody mają na groszy 20, Biejąc za temi, którzy szałas zabrali, trafili na tych na Bieszczadzie i pojмали ich”.

O stanie pasterstwa i dochodach czerpanych przez skarb królewski z gospodarstw górskich mówi ilustracja starostwa sanockiego z 1565 r.: „Dań barania albo Strąga. Tam z postronnych Wsi tak z Królestwa iako i z Węgier lecie wkupują się owczarze, to iest ludzie fowentes greges dla pastwiska na płonyni, y tamże czynią sobie koszary, [...] a dostawa się przez sto baranów. A wszakoż w niniejszym roku iako dali sprawę słudzy Zamkowi, tylko biorąc od sta owiec barana iednego, dostało się baranów ośm, owiec cztery, kozłów trzy, kozłat z jagnięty jedenaście.”

Analizując przytoczone wyżej źródła pisane można stwierdzić, że mianem szałas zwano górskie gospodarstwo pasterskie prowadzone wspólnie przez społeczność kmiecią całej wsi. To tam przebywali ze stadami pasterze i dokonuwał się cały proces czerpania pożytków z wypasu owiec, a więc pozyskanie mleka na podpuszczkowe sery wołoskie, wełny na sukno i skór na kozuchy. Wypasane stada koszarowano, co umożliwiało racjonalne nawożenie pastwiska, które następnie, naprzemiennie rok po roku, orano pod uprawę owsa. Na połoninie wypas odbywał się zbiorowo i prowadzili go juhasi, którzy brali odpowiedzialność za powierzoną im trzodę indywidualnych właścicieli, ale musieli być też sposobni na rozliczenie przerobionego na ser mleka.

Ten dość archaiczny sposób podziału pożytków z wypasu opisał Aleksander Kuczer w pracy *Samborszczyzna. Ilustrowana monografia miasta i Ekonomii Samborskiej*: „W połowie maja wypędzają gazdowie swe owce na pasznicę połoniny, gdzie pasą je przez kilka dni, poczem spędzają owce do wspólnego szałas. Tutaj po zabawie każdy gazda doi swe owce „na miarę”, stanowiącą sprawiedliwą podstawę późniejszego rozdziału bundzu i żętycy, pod okiem najstarszego owczarza, po-

czem każdy gazda i owczarz przemierzają wydobre mleko „połonnikom” tj. drewnianą chochlą, mierzącą około pół litra. Na podstawie starodawnego prawa zwyczajowego i poczynionych w tym kierunku doświadczeń, powinno przypaść dla właścicieli owiec za całe lato tyle wielkich miar tak zwanych „gefet” mleka, ile wynosi przy próbnym dojeniu liczba „połonników” pomnożona przez dwa. [...] Ponieważ owczarze są zwyczajnie analfabetami i pisma nie znają, przeto celem zapamiętania sobie i stwierdzenia jakimś naocznym dokumentem, ile owce każdego gospodarza dały „połonników” na miarę, znaczą na szerokiej listwie leszczynowej lub bukowej karbami ilość „połonników” na miarę, poczem listwę rozkłuwają na dwoje, zostawiając jedną połowę u siebie, zaś drugą połowę z temi sa-

memi karbami, na podobieństwo wierzytelnego podpisu dokumentu notarialnego wręczają właścicielowi owiec. Te listwy z karbami zowią „rowaszami”.

Oprócz owiec, z czasem w wysokich partiach gór zaczęto wypaszać jałowki, a przede wszystkim woły. Woły wykorzystywano jako zwierzęta pociągowe, oraz przeznaczone były na rzeź dla pozyskania mięsa. Towarowy wypas wołów nasilił się na przełomie XIX i XX w. w związku ze wzrostem zapotrzebowania na mięso, choćby dla potrzeb garnizonów wojskowych tworzonych przez władze austriackie. Obserwacje dotyczące wołów wypasanych w Bieszczadach w latach 30. XIX w. poczynił Wincenty Pol – poeta, krajoznawca i geograf. W pracy *Obrazy z życia i natury. Serya 1* pisał: „Handel byłem na Beskidzie jest bardzo żywy. [...] Lepiej odchowują się cielęta na Węgrzech, ale od roku wyrastają wołki i woły lepiej na chłodnych i bujnych paszach, z tej strony Beskidu. Ztąd ciągle związki Górali naszych z węgierskimi i ztąd poszło zmieszanie rasy.... Wielkie równiny obległy olbrzymi łuk Karpat i trzy rasy stepowego bydła węgierskiego, wołoskiego i podolskiego wołu, zetknęły się na Beskidzie, a odrębny rodzaj paszy wydał tak zwane „werhowyskie woły”. Ani wół z kampanii rzymskiej nie jest okazalszy: rogi i kształt biorą od węgierskich wołów, ale wagę, budowę kości i ogrom biorą od podolskiego wołu. [...] Przyglądałem się takiemu stadu werhowyskich wołów w Siankach na Beskidzie. [...] Tu u źródła Sanu w tym uroczysku ziemi były pokoszone łąki dokoła i wonnem sianem pachniał cały Beskid, ...”

Początkiem XIX w. pasterze wspierali pierwszych turystów pojawiających się w Bieszczadach. Zygmunt Kaczkowski – zwany ostatnim bardem szlachty sanockiej, tak wspominał wycieczkę z 1833 r. na szczyt Łopiennik górą nad Cisną: „O zachodzie słońca przyjechaliśmy do samego podnóża tej góry i tam rozłożyliśmy się obozem. Wieczorem nałożono ogromny ogień z drzew szpilkowych i jałowcowych gałęzi, których ożywiający zapach jeszcze dziś mi się przypomina. Noc przepędziliśmy w szałasach, których nam odstąpili

owczarze. Nazajutrz, na dobrą godzinę przed świtem, wstaliśmy, a owczarze poprowadzili nas dalszymi, lecz za to nie za bardzo stromymi ścieżkami na sam szczyt Łopiennika...”

Obraz bieszczadzkiego pasterstwa z XIX i XX w. zachował się m.in. dzięki wywiadowi, jakie zebrała i opublikowała Maria Biernacka w pracy *Dawne oraz współczesne formy organizacji pasterstwa w Bieszczadach*. Wywiady prowadzone były w latach 1960-61 ze starszymi mieszkańcami Baligrodu, Cisnej czy Wetliny, którym udało się uniknąć wysiedlenia lub powrócili w Bieszczady po 1956 r. Wynika z nich, że: „Dawna ludność [...] zamieszkująca południowe części dzisiejszych Bieszczad przywiązywała wielką wagę do prowadzenia gospodarstwa hodowlanego. Rozwój hodowli zapewniały obszary łąk, pastwisk, a przede wszystkim połonin i lasów. Połoniny były jednokośne, toteż po zebraniu siana można było swobodnie wypaszać na nich dobytek. Na wysokich połoninach, jak np. Wetlińska, Caryńska, Smerek, Wołosate, wypasali się do czasów II wojny światowej stada bydła, w tym głównie jałowizny. Przed I wojną światową i bezpośrednio po jej zakończeniu na połoninach wypasano również stada wołów przeznaczonych bądź do podchowania, bądź też na sprzedaż. Hodowla wołów była tam szeroko rozwinięta. Gospodarstwa większe hodowały z reguły po 3 pary wołów, a największe, 40-hektarowe, po 4 i 6 par wołów. Młode przeznaczone do chowu oraz stare szły do wypasu na połoniny, średnie używano do prac polnych. Obok wołów hodowano także znaczną ilość krów. [...] Połoniny były jednokośne, toteż po zebraniu siana można było swobodnie wypaszać na nich dobytek. [...] Wypas na połoninach odbywał się zbiorowo, trwał cały sezon letni. Pasterzy wspólnych jednak nie było, tylko kolejno z każdego domu szli do wypasu dwaj mężczyźni lub przynajmniej jeden. [...] Po żywność schodzono do wsi i zabierano zapasy na czas dłuższy. Ochronę przed warunkami atmosferycznymi stanowiły dla pasterzy szałas budowane na stałe. [...] Najstarsi gospodarze pamiętają [...], że w czasach ich młodości, a więc ponad 60 lat wstecz, hodowano tu dużo owiec, Wypas owiec odbywał się indywidualnie bądź zbiorowo na szalasach zwanych s a ł a s z a m i. Szalas organizowano na połoninach: Wetlińskiej, Caryńskiej, Smereku, Wołosatym. [...] Dziadek 80-letniej informatorki z Baligrodu prowadził szalas, w którym miał kilkaset owiec pozbieranych od ludzi. 86-letnia informatorka z Cisnej pamięta, że na Wołosatym prowadził szalas Żyd Lejbach. 70-letni informator z Solinki pamięta, że owce wypasano na szalasach. Z mleka owiec wyrabiano bryndzę, a nawet oszczyпки, ale o kształtach okrągłych. [...] Właścicielom owiec płacono serem. Ziemię koszarowano. W związku z wypasem zachowały się tradycje posiadania przez pasterzy trombit, zwanych tu trombetami. W wypadku zagrożenia niebezpieczeństwa pasterze wygrywali na trombitach umówiony sygnał, który przywoływał mieszkańców wsi na pomoc. [...] Zbiór siana na połoninach chłopskich odbywał się indywidualnie, ale już wypasy dobytku prowadzono zbiorowo, bez przestrzegania podziałów granicznych. Największy udział w połoninach miały gospodarstwa duże, głównie dwory, które jednak granic swej własności przestrzegały”.

Kwestie związane z rasą owiec wypasanych w Bieszczadach, w swej pracy *Nie ostatnie słowo oskarżonego. Wspo-*

mnienia i artykuły, poruszył Felicjan Stawoj Składkowski. Pełniąc w I. 30 XX w. funkcję ministra spraw wewnętrznych wraz ze starostą leskim Romanem Gąsiorowskim odwiedził Wołosate, gdzie pytany o zatargi graniczne ówczesny naczelnik gromady Teodor Łeńko odpowiedział Składkowskiemu: „Ta granica węgierska, teraz mówią czechosłowacka, idzie głównie połoninami. To dużych zatargów i nie ma, bo sobie wzajemnie ustępujemy i jak komu owce zginą, to idzie ich szukać na drugą stronę i o te połoniny się nie bijemy. O owce też się nie bijemy, bo nasze gorsze, zwyczajne świnarki, a ich lepsze, to od razu widać która czyja”.

Odpowiedź ta spowodowała, że minister obiecał przystanie owiec lepszej rasy. Po kilku latach, w trakcie pobytu Składkowskiego w Lesku, starosta Gąsiorowski relacjonował ministrowi: „[Owce – przyp. W.W.] są już od dwóch lat. [...] Grunt, że doskonale się przystosowały do tutejszych warunków i paszy na połoninach. Sprowadziliśmy owce białe z cienką, długą wełną kozuchowe rumuńskie odpor-



Spotkania z literaturą łemkowska podczas 43. Łemkowskiej Watry

ne na chorobę zwaną motylicą. Z początku Bojki odnosili się nieufnie, ale teraz wszyscy chcą je mieć. Najwięcej daliśmy na Połoninę Wetlińską, bo tam pasza dla nich odpowiednia. Widać je w pogodny dzień bielejące wśród tutejszych dawnych brunatnych świniarek”.

Do kulturowych aspektów bieszczadzkiego pasterstwa nawiązał wybitny polski krajoznawca Mieczysław Orłowicz w artykule *Bieszczady Zachodnie od Sianek po Smerek*. Wędrując w sierpniu 1933 r. z grupą turystów oddziału warszawskiego Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego z Sianek połoninami na Halicz i dalej w kierunku Smereka zanotował: „Nie chcąc schodzić na nocleg do głęboko położonej wsi Wołosate, skorzystaliśmy z odkrycia prymitywnego szałas miejscowych bojków tuż poniżej grzbietu i spędziliśmy noc przy ognisku w szałasie. Noc była księżycowa, pogodna, lecz bardzo zimna, to też już o godz. 5-ej rano rozpoczęliśmy dalszą wędrowkę. [...] Drogę po nagich połoninach urozmaicały nam oryginalne melodje, wygrywane na trąbitach przez dwóch pasterzy ruskich, z których jeden pał owce na grzbiecie Krzemienia, drugi zaś odpowiadał mu z dalekiej doliny na wschodzie. Złudzenie, że jesteśmy w Czarnohorze było tem bardziej uzasadnione, bo tylko tam słyszy się jeszcze głos trąbit”.

Andrzej Potocki

Łemkowie z Podola

Monasterzyska wypadły nam niejako po drodze do Buczacza. Chcieliśmy zobaczyć kościół ufundowany przez Józefa Potockiego, kasztelana lwowskiego, konsekrowany w 1751 r. pw. Wniebowzięcia NMP. To on zamówił u Johana Pinsla, najwybitniejszego z europejskich rzeźbiarzy rokokowych, wielki ołtarz i boczne ołtarzyki z wieloma figurami świętych. Oczywiście rzeźb Pinsla już w nim nie. Część w ogóle nie istnieje, bo uległy zniszczeniu. Na frontonie zachowały się, być może przez niedopatrzenie, trzy polskie tablice pamiątkowe wmurowane w setne urodziny: Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego i Zygmunta Krasińskiego. Obecnie jest w nim cerkiew prawosławna patriarchy kijowskiej i świątynia przechodzi remont. Bez wątpienia największym zaskoczeniem w Monasterzyskach okazało się istnienie kompleksu muzealnego „Łemkowskie Sieło”.



Bałuciańska patera w Monasterzyskach

Olenka Verezowska z Ameryki napisała kilka dni temu do Muzeum: „Mam haftowaną koszulę po babci, a raczej to, co z niej zostało: mankiety, wstawki i stójka. Wszystkie wyszyte prostym wzorem. Chcę stworzyć replikę! Ale potrzebuję porady. Czy wiecie, z kim się skontaktować na Ukrainie lub w Ameryce? Babcia pochodziła z Łopienki z leskiego powiatu. Jej mąż z Bukowca. Nie ma już dziadków, babć, co by mogli opowiedzieć, jak tam było z dziada pradziada. Nie ma już i rodziców, tylko wnuki szukają swojej tożsamości pomiędzy ich cieniami przodków”.

Kilka dni przed naszym przyjazdem 16 sierpnia na uroczysku Bychowa koło Monasterzysk zapalili watrę, ustawili kramy z rękodziełem, śpiewali, tańczyli, łemkali... Tak rozpoczął się XXIV Międzynarodowy Festiwal Kultury Łemkowskiej „Dzwony Łemkowszczyzny” w tarnopolskiej obłasti – wydarzenie wyjątkowe, które każdego roku na nowo sięga do pamięci pokoleń. 80 lat temu wywieziono część Łemków z ich ojcowizny na tereny sowieckiej niby Ukrainy, bo przecież zniewolonej przez reżim stalinowski. Na festiwalu było kolorowo od łemkowskich strojów, ukraińskich wyszywa-



Budynek muzeum Łemkowskie Sieło

nek i krywulek. Radość mieszała się ze smutkiem wspomnień i żalem za tymi, co są teraz na wojnie.

Budynek muzeum, chociaż parterowy, jest okazały, zadbane. Gospodarzą w nim kobiety. Szefuje im Vira Dudar-Didina, z którą, jak się okazało, mieliśmy kilku wspólnych znajomych: Mikołaja Muszynkę, profesora uniwersytetu w Preszowie na Słowacji, i Fecia Gocza z Zyndranowej. Obaj wystąpili w moim filmie pt. „Przepadła nasza Łekowyna”. W kilku pomieszczeniach muzeum prezentowane są bogato wyposażone ekspozycje rzeźby ludowej, strojów ludowych, przedmiotów sakralnych, ksiąg liturgicznych, sprzętów domowych. I dużo fotografii z przeszłości. Łemkowie osiedleni w Monasterzyskach i okolicy wyjechali do Związku Sowieckiego z Beskidu Niskiego w zasadzie dobrowolnie, ale jednak pod przymusem. Sowieci uznali ich za nację ukraińską i po ustaleniu granicy polsko-sowieckiej następowała wymiana ludności. Polacy jechali do Polski, a Bojkowie i Łemkowie na sowiecką Ukrainę. Do 15 sierpnia 1945 r., według danych głównego przedstawiciela rządu RP do spraw ewakuacji J. Bednarza, z powiatu gorlickiego wyjechali do ZSRR 70% Łemków, z jasielskiego – 91,2%, nowosądeckiego – 55,6% i sanockiego – 27%.

Monasterzyska były do roku 1844 własnością Przemysława Potockiego, ojca Stanisława Potockiego, który poślubił Annę Działyńską, późniejszą właścicielkę włości rymanowskich. W muzeum łemkowskim pamięta się o Annie Potockiej, która w 1878 r. założyła przy dworze w Rymanowie szkołę rzeźbiarską dla uzdolnionej młodzieży. A uzdolnieni byli przede wszystkim Łemkowie z Beskidu Niskiego, z Bałucianki, Deszna i z Wólki. Ekspozycja rzeźby ludowej Łemków ze szkoły rymanowskiej zajmuje jedną monasterską salę. Figurki, kasetki, ramki i patery. Podobne patery nadal rzeźbi Józef Łoś w Bałuciance. Korzysta z dawnych wzorów wypracowanych w rymanowskiej szkółce rzeźbiarskiej. Potomkowie polskich Łemków z tych wsi nadal rzeźbią i malują na szerokiej Ukrainie, jedni amatorsko, inni profesjonalnie.

Na cmentarzu w Monasterzyskach nadal stoi sporo starych kamiennych nagrobków dawnych mieszkańców – Polaków. Stan zachowania różny, ale nie noszą śladów wandalizmu. Jest też kaplica po gruntownym remoncie, opisana w Wikipedii jako kaplica grobowa Potockich, co jest oczywistą nieprawdą. Nad wejściem są herby tych, których trumny złożono w krypcie. Żaden z tych herbów nie odnosi się do Potockich. Jeden z nich to herb Trzaska, a drugi ma godło niewiadomego pochodzenia i być może ma związek z Karolem Bako de Hutte, właścicielem Monasterzysk od 1844 r., który otrzymał szlachectwo w Austrii.

W monasterskiej rzeczywistości wciąż ożywają związki z Polską, dawną Rzeczypospolitą wielu nacji i narodów. Tamtejsi Łemkowie wracają do swoich polskich korzeni, by kultywować tutejszą już ukraińską łemkowskość. Otwarcie i zaradni, jak ich przodkowie, w monasterskim muzeum przechowują pamięć o miejscu swojego początku. Warto wybrać się w tę podróż, aby dać się zaskoczyć rzeczywistości tak mocno osadzonej w naszej historii. ■

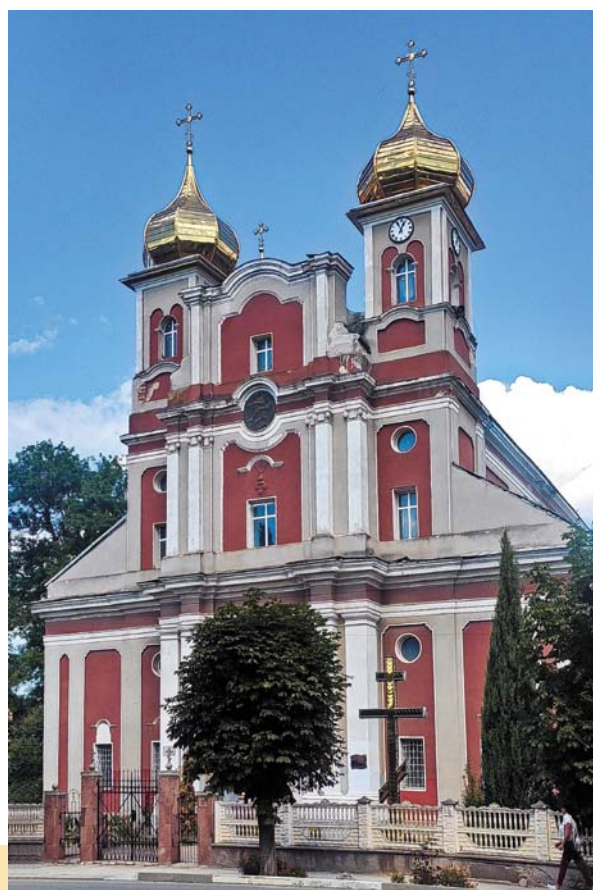
Fot. Katarzyna Potocka



Stroje ludowe Łemków, fragment ekspozycji w muzeum



Muzealna ekspozycja rzeźby ludowej



Dawny kościół rzymskokatolicki w Monasterzyskach

Coś po sobie zostawię

Rozmowa Aleksandrem Maślejem – współzałożycielem Zjednoczenia Łemków w Gorlicach, historykiem, dziennikarzem, publicystą, autorem książek, poetą



– Spotykamy się tuż po zakończeniu tegorocznej „Łemkowskiej Watrze” w Żduni (Łemk. Żdynia)¹. W tym roku było to już 43 Święto Kultury Łemków². Jak ta impreza zmieniała się przez lata?

– A to trudne pytanie... powoli ale zmieniała się. Pierwsze Watry były warsztatami artystycznymi Reprezentacyjnego Zespołu Pieśni i Tańca „Łemkowyna” z Bielanki. Z początku „Łemkowska Watra” wędrowała po Łemkowszczyźnie, odbywała się w Czarnej koło Uścia Gorlickiego, później w Hańczowej i Bartnem, by w końcu na stałe zagościć w Żduni. Początkowo były to niewielkie, nieformalne spotkania, a z czasem ewoluowały do dzisiejszej formy dużego festiwalu. 35 lat temu udało się nam zakupić siedem i pół hektara ziemi w pobliżu wsi Żdynia, doprowadziliśmy tam kablem ziemnym ze wsi energię elektryczną i powoli przez te lata rozbudowaliśmy ośrodek do tego momentu, w którym jest teraz. Zagospodarowaliśmy ten plac malowniczo położony w górach Beskidu Niskiego, otoczony lasami i przez te 35 lat trochę nabudowaliśmy tam... (śmiech). Teren Watry to 2,5 hektara ogrodzonego terenu z rozbudowaną infrastrukturą gastronomiczno-sanitarną, amfiteatr, scena z zapleczem scenicznym oraz mini skansen. Łączny areal festiwalu to w tej chwili 12,5 ha.

– „Watra” to nie tylko dziesiątki koncertów zespołów folklorystycznych, folk-rockowych, a nawet hip-hopowych reprezentujących środowisko łemkowskie z Polski, Ukrainy, Słowacji, Serbii a w tym roku nawet z Kanady. Przede wszystkim to spotkania Waszej społeczności, która co roku w lipcu przyjeżdża do Żduni niemal z całego świata. Towarzyszą Watrze wydarzenia patriotyczne, religijne a nawet sportowe.

– Tak oczywiście, to wielkie święto łemkowskiej kultury! Nie zapominajmy, że tam odbywa się zawsze kilka spotkań: literackich, historycznych, są dyskusje, są dobre koncerty, wspaniała zabawa, także jest w czym wybierać...

– W tym roku odbyła się m.in. promocja książki pod redakcją Bogdana Huka „Nikifor. Łemko okradziony z tożsamości”³.

– Owszem, ale ta książka jest niepełna, bo tam wyjęto procesy sądowe... Przywracanie tożsamości Nikiforowi trwało zbyt długo, bo prawie dziesięć lat, trzeba było walczyć, choć mieliśmy wszystkie dokumenty, była metryka chrztu Epifaniusza Drowniaka, były relacje świadków.... ale chodziliśmy tak od sądu do sądu od Gorlic do Sącza, od Sącza do Muszyny i w końcu to się zakończyło w sądzie w Muszynie i sąd przywrócił mu nazwisko.

– Ale z czego wynikał tak długi proces sądowy, przecież były wszystkie dokumenty, z niechęci sądów, jak przypuszczasz?

– Przede wszystkim bardzo dziwię się Muzeum Narodowemu w Nowym Sączu, bo ono włączyło się do procesu i chciało nam udowodnić, że Nikifor nie nazywał się Drowniak, że on jest nadal Krynicki... ta sprzeczność weszła w grę i jak przypuszczam to była bardziej gra polityczna. Nie wiem o co chodziło, czy może o zatrzymanie polskości Nikifora? Potem nawet Muzeum Narodowe w Nowym Sączu nie uczestniczyło w wydarzeniach związanych z tym artystą, jak była setna rocznica urodzin Nikifora, nie zrobili nic aby go uczcić.

– Pozostawiamy to bez komentarza...

– Tak... lepiej bez komentarza. Tak samo nie będę komentował decyzji sądów, sądy mają swoje prawa, sądów się nie komentuje.

– OK, Watrę od lat organizuje Zjednoczenie Łemków⁴. To ważna ogólnopolska organizacja społeczna z siedzibą w Gorlicach, której celem jest ochrona i promocja kultury, tradycji i języka Łemków. W tym roku w Żduni celebrowaliście 35-lecie powstania tej organizacji. Jesteś jednym z dwójga żyjących jeszcze jej twórców. Przypomnij początki Zjednoczenia Łemków i jego założycieli.

– To było tak dawno temu... W 1990 roku zebrała się grupa byłych działaczy związanych z Watrą Łemkowską z Teodorem Goczem⁵ na czele. Podczas zebrania założycielskiego Zjednoczenia Łemków w Gorlicach wybrano mnie na starostę Watry, która wtedy po raz pierwszy odbyła się w Żduni. No i ode mnie się zaczęła Watra w Żduni i w tym roku była już 35. w tym miejscu, także świętowaliśmy dwie rocznice.

– Kto oprócz Teodora Gocza i ciebie był w gronie założycieli Zjednoczenia Łemków?

– Piotr Szafran, Swiatoslaw Gal, Wasyl Szost... trudno wymieniść wszystkich w tej chwili, musiałbym rozłożyć przed sobą protokół założycielski, było nas około czterdziestu.

– **Co było motorem do utworzenia organizacji?**

– Przede wszystkim chodziło o to, żeby w końcu działać, działać przy Watrze, mieć swoją organizację i robić swoją imprezę ...

– **Jak się zmieniała rola Zjednoczenia Łemków przez te 35 lat?**

– Najważniejsze w tym wszystkim jest to, że wychowaliśmy sobie młode pokolenie. Bo tamto starsze pokolenie przekazywało mojemu pokoleniu, a ja wychowałem sobie młode pokolenie i teraz młodzi przejęli, także mamy następców. Idziemy w dobrym kierunku, bo przekazujemy pałeczkę dalej...Watra zupełnie zmieniła się już pokoleniowo w tej chwili. To jest najważniejsze, mamy następców, którzy chcą działać, angażują się itd. czyli ciągłość pokoleń jest zachowana, to jest bardzo istotna rzecz w tym wszystkim. Tego nie udało się w Słowacji. Tam jest trudna sytuacja Związku Rusinów – Ukraińców dlatego, że tam nie ma zmiany pokoleniowej, tam zostali sami starzy ludzie, a nam się udało! Oni zostali przy tym starszym pokoleniu i dalej tkwią w tym pokoleniu i według mnie to jest niedobre.

– **No właśnie jak się wam udało wychować następców?**

– Trzeba było ich wciągać do pracy w organizacji, ja od razu to robiłem, przede wszystkim przy organizacji Watry i sprawdzali się, chcieli to robić i o to właśnie chodziło, bo gdybyśmy blokowali ich inicjatywy, stworzyli sobie takie getto starcze...no to mamy przykład ze Słowacji. My spokojnie oddaliśmy władzę młodym i bardzo dobrze, i oni sobie radzą. Tak ma być...

– **Niedawno zrezygnowałeś z pracy w zarządzie Zjednoczenia Łemków? Co było przyczyną jeśli możesz zdradzić?**

– Odszedłem na emeryturę, jestem więc pełnoprawnym emerytem i po co mam się płać między młodymi? (śmiech...) Są następcy i niech robią swoje. Odszedłem spełniony, bo nowe pokolenie jest wychowane.

– **Słowo Zjednoczenie w nazwie organizacji jest nieprzypadkowe, moim zdaniem. Trudne losy w przeszłości łemkowszczyzny spowodowały rozbitcie społeczności – religijnej, językowej, a przede wszystkim w odczuwaniu tożsamości etnicznej. Niestety Polacy też przyłożyli rękę, poprzez niechlubną akcję Wiśla. Czy przez lata udało się wam zjednoczyć łemków, przynajmniej tych mieszkających w Polsce?**

– Niestety nie, to jedno jest bardzo trudne do realizacji. Tak jak sama powiedziałaś, że są przyczyny i religijne i polityczne i nawet w odczuciu społecznym i narodowościowym. Jest druga organizacja bliźniacza: Stowarzyszenie Łemków⁶, która uważa i tylko wyłącznie, że Łemkowie to oddzielny naród. No i trudno z tym dyskutować, bo trudno dyskutować z wyborem ludzi. Skoro tak – niech tkwią, ale zawsze naszym zadaniem było to, żebyśmy się wzajemnie nie atakowali. Teraz jakoś to rozeszło się..., nie ma już takich ataków, ale każdy idzie swoją drogą, po prostu.

– **A wy jaką drogą idziecie?**

– My idziemy drogą pojednania, przede wszystkim, czasami udaje się, chociaż nie bardzo.

– **Watra jest sztandarowym projektem kulturalnym Zjednoczenia Łemków, ale nie tylko. Od lat zabiegacie o zwrot łemkowskiego mienia pozostawionego w Beskidach. Co udało się wam do tej pory osiągnąć w tej kwestii?**

– Zwrócono do tej pory parę hektarów lasów i na tym się zakończyło.

– **Z ubolewaniem to przyjmuję... jakie są największe przeszkody twoim zdaniem, przecież są dokumenty potwierdzające prawo własności?**

– Są na to dokumenty, oczywiście. Największą przeszkodą są Lasy Państwowe i tzw. niechęć polityczna. Nie ma politycznego przyzwolenia.



43. Łemkowska Watra w Żdychu, 2025

– **Kto się boi Łemków?**

– Lasy Państwowe, bo najwięcej tracą na tym wszystkim. To będą enklawy wycięte itd., to im bardzo przeszkadza. Teraz Lasy Państwowe mają pełne enklawy w lasach, a gdyby doszło do zwrotów to te enklawy się podzielią i w środku enklawy Lasów Państwowych, trzeba będzie oddać tu, tam, siam...To jest największa przeszkoda. Zresztą nie tylko to, były polityczne zapędy już takie ostre np. takie jak stworzenie Magurskiego Parku Narodowego. Żeby nie oddawać lasów – utworzono park narodowy, a w parkach narodowych trudno gospodarować, chociaż można... Są przypadki, że można oddawać lasy. Mają ludzie dokumenty, mają sprawy sądowe zakończone, ale skutecznie wszystkie postępowania administracyjne zostały zablokowane. Wszystko po to, aby przeszkodzić w oddawaniu lasów. To jest przeciąganie struny – odciąganie w czasie... odciąganie w czasie... odciąganie w czasie... a potem – sprawa się przedawniła.

– **Z jakimi innymi problemami próbujecie – jako Zjednoczenie Łemków – się uporać?**



Spotkania z literaturą łemkowską podczas 43. Łemkowskiej Watry

komendant milicji powiedział mi: „oj, żebym ja wiedział, że ty tu jesteś to ja bym na pewno pułkownikiem skończył, a nie majorem” (śmiech...).

– **Opowiedz o losach twojej rodziny, rodziców, dziadków.**

– Mój ojciec pochodzi z Uhrynia⁸, to jest gmina Łabowa, między Krynicą a Łabową, a matka pochodzi z Jaskowej⁹, z dawnego powiatu grybrowskiego, teraz to jest gmina Uście Gorlickie. Matka została przesiedlona do Murzynowa¹⁰, to jest obecnie w gminie Skwierzyna, koło Gorzowa Wielkopolskiego. Ojciec został przesiedlony pod Wrocław do Urazu¹¹.

– **I jak się spotkali?**

– Oni znali się jeszcze sprzed II wojny światowej. Ojciec miał rodzinę w Brunarach, którą odwiedza

ł i tak się poznali, ale to nie było małżeństwo z miłości, tylko z nakazu rodziców, jak to dawniej bywało. Zamieszkali w Urazie, tam rozpocząłem edukację, potem był Wrocław, szkoła, studia historyczne i tak to trwało, aż do stanu wojennego. Pracowałem na siódmej zajezdni autobusowej we Wrocławiu, gdzie był główny strajk Dolnego Śląska¹² i tak się zaczęła przyjaźń z Solidarnością. Ciężko było, ale tam dobrze zarabiałem, a tu musiałem przyjść na jakąś „ścierwiastą” wypłatę, bo moje zarobki spadły o 80 procent, coś trudno, ale byłem u siebie i to rekompensowało wszystko.

– **Historię m.in. rodziców opisałeś w książce *Moja Łemkowszczyzna. Tryptyk*¹³ wydanej w 2007 roku. Znałeś te historie z opowieści rodziców, czy specjalnie na potrzeby książki ją spisałeś po latach?**

– Nie, to były opowiadania rodziców i trzecie opowiadanie to jest właściwie o Żdyni i losach żdynian, zaśłuchane opowieści, bo opowiadali mi to przedstawiciele starszego pokolenia.

– **Co opowiadali ci rodzice o swoich wysiedleniach z Łemkowszczyzny?**

– Matka miała gorzej, bo jak wojsko otoczyło wieś, to najwcześniej UB aresztowało jej brata Mirona i nie wiedzianno co się z nim dzieje. A brata przewieziono na UB do Gorlic, a z Gorlic od razu trafił do Jaworzna¹⁴. Matka jechała na tzw. Ziemię Odzyskane dwa tygodnie! Znaleźli się w dorzeczu Warty, to zupełnie inny klimat niż w górach i taka „ciekawostka” – matka w ogóle się nie oganiała od komarów i tak została przez nie pogryziona, że przestała na oczy widzieć.

– **W górach nie ma komarów.**

– Tak, w górach nie ma komarów, a tam były. Z kolei ojciec jak już mówiłem trafił pod Wrocław. Oni mieli duże gospodarstwo na Łemkowszczyźnie. Na karcie przesiedleńczej

– Przede wszystkim próbujemy zatrzymać niszczenie małej architektury sakralnej i cmentarzy łemkowskich. Zabiegamy o to od trzydziestu lat.

– **Tak, też robiłam swego czasu reportaż o tym, że cmentarze nie są na sprzedaż.**

– Dokładnie! Przecież sprzedawano ziemię wraz z cmentarzami. Przykładem jest wieś Czertyżne⁷, po wysiedleniu której pozostał jedynie cmentarz. Długo walczyliśmy o to, żeby wydzielić ten cmentarz od reszty gruntów i w końcu po wielkich bojach, udało się. Ale po co było walczyć, skoro to jest naturalne, przecież na mapach jest cmentarz, są dokumenty... Nie mogę zrozumieć, jak można sprzedawać cmentarz jako ziemię rolną? To było dość głośne, jak krzyczałem, były spotkania i z ministerstwem i na komisjach ds. mniejszości. Wtedy wypowiedziałem takie zdanie, które strasznie wszystkich zabolowało: „Co by było, gdybyśmy tak cmentarz Orląt Lwowskich podzielili na działki budowlane?”- „O nie! Ten cmentarz to co innego!” – usłyszałem. A dla mnie każdy cmentarz jest cmentarzem!

– **Wielu Łemków powróciło w rodzinne strony, również tak było w twoim przypadku. Jak ważny to był moment w twoim życiu?**

– W moim życiu było to trochę coś innego jak powrót. To był stan wojenny, bo ja wróciłem na Łemkowszczyznę stanie wojennym. Żona skończyła wtedy studia, no i były wówczas nakazy pracy dla lekarzy. Ja działałem w Solidarności, troszeczkę bawiłem się w noszenie ulotek, miałem z tego powodu parę przykrości, jak każdy kto bawił się w takie rzeczy, no i postanowiliśmy pojechać w góry, znaleźć jakiś ośrodek zdrowia. Tak zrobiliśmy, znaleźliśmy ośrodek w Uściu Gorlickim, żona dostała nakaz pracy do tego ośrodka i przyjechaliśmy do Uścia. W ten sposób wróciłem i dalej sobie działałem w Solidarności, a że byłem mężem dentystki to nikt o tym nie wiedział. Po latach dopiero były

– Twoje książki spotykają się z przychylnymi recenzjami, nie tylko w środowisku łemkowskim. No właśnie do kogo adresujesz te publikacje? Spotkałam się z opinią, że to Polacy powinni je przeczytać, szczególnie ci, którzy uważają akcję Wisła za uzasadnioną. Zgodzisz się z tym?

– Wydałem je po polsku, żeby Polacy też je przeczytali, bo Łemkowie znają te historie. Wydawanie w języku łemkowskim czy ukraińskim nie ma sensu, bo trafia tylko do tego środowiska. Dlatego wydałem w języku polskim, by trafiło do czytelnika polskiego.

– I jaki miałeś odzew ze środowiska polskiego – twoje książki są potrzebne, ważne?

– Powiem tak – opinie były różne, ale w większości były przychylne.

– Co z kolejną publikacją? Słyszałam, że coś przygotowujesz, co to będzie?

– To będą wiersze pogrzebowe, które pisałem różnym przyjaciółom. Muszę to opracować i chcę to zrobić dobrze, łącznie z małymi biogramami, z fotografią itd., żeby ludzie wiedzieli o kogo chodzi.

– Dużo tych wierszy się zebrało?

– Nie policzyłem, ale chyba ponad dwieście. Nie pisałem tylko Łemkom, Polakom też pisałem, tak że tego jest trochę. Tak mi się trafiło po Kochanowskim, on pisał treny tylko córce, ja pisałem wielu ludziom (śmiech).

– Jak oceniasz swoją twórczość, jako historyka, publicystę, pisarza, poetę?

– Nie lubię szufladkowania, ale myślę, że jeśli ktoś tam coś przeczytał to może zmienił swoje zdanie i zdaje mi się, że paru zmieniło. Ale trudno mnie zaszufladkować bo rozstrzał jest bardzo duży, przecież napisałem też setki relacji dziennikarskich, nie tylko do różnych periodyków, gazet itd. przede wszystkim do Naszego Słowo, do kwartalnika Watra, do historycznych zeszytów też pisałem, jest tego dość dużo. W każdym bądź razie – najważniejsze jest to, że coś po sobie zostawię.

– Jakie masz plany na emeryturę?

– Codziennie – niedziela, to jest plan na emeryturę...to żart oczywiście. Muszę uporządkować publikacje, dokończyć to co zaczęte.

– Planujesz napisać kolejne książki?

– Jest trochę zebranego materiału, ale trzeba przysiąść, bo to jest dużo pracy, a teraz mam czas i właśnie nad tym pracuję.

– Życzę ci zatem powodzenia i dziękuję za rozmowę.

– Dziękuję

Rozmawiała Jolanta Danak-Gajda

Fot. Archiwum

Przypisy

1. Wieś w Małopolsce w powiecie gorlickim, w gminie Uście Gorlickie, ze Zdyni (po łemkowsku Żdyni) pochodził święty, męczennik kościoła prawosławnego Maksym Sandowycz. Jego grób znajduje się na miejscowym cmentarzu parafialnym. We wsi znajduje się zabytkowa drewniana cerkiew Opieki Matki Bożej oraz cmentarz wojenny z I wojny światowej nr 52. <https://pl.wikipedia.org/wiki/Zdynia>
2. https://pl.wikipedia.org/wiki/%C5%81emkowska_Watra_w_Zdyni
3. Epifaniusz Drowniak vel Nikofor Krynicki, łemkowski malarz, przedstawiciel sztuki naiwnej, tworzył głównie autoportrety, widoki krynickich willi, okolicznych cerkwi, malował na kawałkach tektury, skrawkach papieru, okładkach zeszytów. Żył w nędzy, uważano go za niepełnosprawnego intelektualnie, dopiero pod koniec życia został doceniony i uznany na świecie za wybitnego twórcę. Nie miał żadnych dokumentów i pod koniec życia sąd określił jego tożsamość – Nikifor Krynicki. https://pl.wikipedia.org/wiki/Nikifor_Krynicki
4. https://pl.wikipedia.org/wiki/Zjednoczenie_%C5%81emk%C3%B3w; Strona Zjednoczenia Łemków: <https://www.lemkounion.pl/>
5. https://pl.wikipedia.org/wiki/Teodor_Gocz
6. Stowarzyszenie Łemków, organizacja społeczna założona w Legnicy w 1989 roku, działa głównie w środowiskach łemkowskich na zachodzie Polski. https://pl.wikipedia.org/wiki/Stowarzyszenie_%C5%81emk%C3%B3w; Oficjalna strona Stowarzyszenia <https://www.stowarzyszenielemkow.pl/web/>
7. Czertyżne – niewielka, dziś opuszczona wieś położona w Beskidzie Niższym w województwie małopolskim w powiecie gorlickim, w gminie Uście Gorlickie. Nazwa wsi pochodzi od ruskiego słowa czerteż, oznaczającego wyręb, a także miejsce pozostałe po wycięciu i wykarczowaniu (wypaleniu) lasu. <https://pl.wikipedia.org/wiki/Czerty%C5%BCne>
8. Uhryń – wieś w Małopolsce, w powiecie nowosądeckim w gminie Łabno, nazwa wsi wskazuje na etymologię węgierską, Węgry w języ-

kach słowackim i czeskim to Uhorsko <https://pl.wikipedia.org/wiki/Uhry%C5%84>

9. Jaskkowa – niegdyś samodzielna wieś, dziś przysiółek miejscowości Brunary, położona w gminie Uście Gorlickie. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Jaskkowa_\(Brunary\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Jaskkowa_(Brunary))
10. Murzynowo – wieś położona w województwie lubuskim, w powiecie międzychodzkim, w gminie Skwierzyna, na prawym brzegu Warty, jej historia sięga średniowiecza, wśród zabytków na uwagę zasługuje poewangelicki kościół z XIX wieku wybudowany w stylu arkadowym. [https://pl.wikipedia.org/wiki/Murzynowo_\(wojew%C3%B3dztwo_lubuskie\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Murzynowo_(wojew%C3%B3dztwo_lubuskie))
11. Uraz – wieś położona na Dolnym Śląsku, na prawym brzegu Odry, 25 kilometrów od Wrocławia, do 1945 roku była miastem o historii sięgającej XIII wieku, zachował się dawny układ urbanistyczny miasta, dawna zabudowa datowana na XVII/XVIII wiek [https://pl.wikipedia.org/wiki/Uraz_\(wojew%C3%B3dztwo_dolno%C5%9B%C4%85skie\)](https://pl.wikipedia.org/wiki/Uraz_(wojew%C3%B3dztwo_dolno%C5%9B%C4%85skie)).
12. <https://www.wroclaw.pl/dla-mieszkanca/strajk-w-zajezdni-autobusowej-nr-vii-w-sierpniu-1980-r>
13. Aleksander Maślej, *Moja Łemkowszczyzna. Tryptyk*, Warszawa 2007.
14. W Jaworznie w czasie II wojny światowej funkcjonował hitlerowski obóz koncentracyjny, po 1945 roku komuniści utworzyli w tym miejscu Centralny Obóz Pracy, gdzie w bardzo trudnych warunkach więziono m.in. Ukraińców i Łemków. Oficjalnie obóz został zamknięty w 1956 roku. https://pl.wikipedia.org/wiki/Centralny_Ob%C3%B3z_Pracy_w_Jaworznie
15. Ruś Szlachecka – enklawa czterech miejscowości zamieszkałej przez ludność rusińską, najdalej wysunięta na zachód – to Biała i Czarna Woda, Szlachtowa i Jaworki, w rejonie Ruskiego Potoku, obecnie zwanego Grajcarek. Nazwa Ruś Szlachecka wymyślona została w latach trzydziestych XX wieku przez etnografa prof. Romana Reinfussa. https://pl.wikipedia.org/wiki/Ru%C5%9B_Szlachecka
16. Aleksander Maślej, *Słońce we łzach wygnanych*, Warszawa 2017.

dr Justyna Częstka-Kłapyta

Muzykolog, etnomuzykolog, etnolog i antropolog kultury

Muzyka – najstarszy język świata na przykładzie huculskiej trembity

Muzyka towarzyszy człowiekowi od zarania dziejów. Nie jest jedynie sztuką, rozrywką czy estetycznym dodatkiem do życia, ale głęboko zakorzenionym w człowieku fenomenem komunikacyjno-informacyjnym. Wyrasta z praw fizjologii ludzkiego ciała i fizyki dźwięku, a jednocześnie jest organicznie spleciona z kulturą – nie istnieje poza nią, nie stanowi bytu autonomicznego. Niezależnie od tego, w jakim kręgu kulturowym się rodzi, jej oddziaływanie wydaje się uniwersalne: każdy rozumie emocje, które budzi.

Nierozwiązane tajemnice początków

Od XIX wieku badacze stawiają pytanie, które wciąż pozostaje bez jednoznacznej odpowiedzi: czy muzyka jest ludzkim wynalazkiem, podobnie jak pismo, czy też od początku wpisana była w nasz genetyczny kod? Nie wiemy również, kiedy dokładnie pojawiły się pierwsze formy muzykowania. Czy poprzedzały mowę, a może rozwijały się równolegle? Być może nasi najdalsi przaprzodkowie byli „śpiewającymi hominidami”, zanim stali się „mówiącymi ludźmi”? Pierwsze twarde dowody archeologiczne to instrumenty muzyczne z epoki paleolitu – piszczałki wykonane z kości sępa sprzed około 40 tysięcy lat, odnalezione w jaskiniach Niemiec i Francji. Nie jest przypadkiem, że właśnie ten ptak, łączony w dawnych wierzeniach ze światem zmarłych i siłami odrodzenia, stał się pierwszym materialnym nośnikiem dźwięku. Jego skrzeczący głos ludzie mogli postrzegać zarówno jako złowieszczy omen, jak i ochronny znak odpędzający zło. Istnieje wiele teorii na temat genezy muzyki: socjologiczna, która wiąże jej początki z rytmem pracy ludzkiej; biologiczna, uzasadniająca ich powstanie seksualnym popędem i doborem płciowym; psychologiczna, zakorzeniająca początki muzyki w naturalnej potrzebie komunikacji emocjonalnej między ludźmi. Jest jednak możliwa jeszcze jedna – kosmologiczna – związana z chęcią emocjonalnej i refleksyjnej komunikacji człowieka z różnymi zjawiskami świata, za którymi mógł on widzieć głębsze sensy religijne.

Dlatego w rytuałach najważniejszą ofiarą jaką składano był właśnie dźwięk – śpiew. Wierzano, że bogowie potrzebują muzyki, aby istnieć, a cisza oznaczała ich śmierć. Pieśń była zatem najczystsza, niematerialną formą ofiary, łączącą człowieka, bóstwa i cały kosmos w jedno. Niektórzy badacze widzą źródła muzyki w doświadczeniach granicznych: w kołysankach matki do dziecka czy w lamentach po śmierci bliskich. W obu tych przypadkach mamy do czynienia z dźwiękiem jako mostem – między dwoma światami: tym doczesnym i tamtym, transcendentnym. Muzyka prawdopodobnie od początku ludzkości łączyła więc człowieka z tym, co przekraczało codzienność – ze światem śmierci, tajemnicy i sacrum.

Huculska trembita jako mediator między światami

Szczególnym świadectwem tej funkcji muzyki są archaiczne instrumenty dęte, takie jak np. karpacka trombita. Najbardziej żywotne formy przetrwały we wschodnim zakątku Karpat, na Huculszczyźnie, gdzie trembita do dziś towarzyszy kołędowaniu i jest podstawowym instrumentem wykorzystywanym podczas obrzędu pogrzebowego.

Według huculskiej tradycji trembita powinna być wykonana z drewna świerka rażonego piorunem i opleciona korą brzozy rosnącej blisko wodospadu. Nie jest to przypadek. W jej konstrukcji spotykają się bowiem dwa przeciw-



Gra na trembitach podczas obchodu kołędników



Kolędnicy z Bereżnicy



Trembity przygotowane do trąbienia podczas pogrzebu, Huculszczyzna



Zespołowa gra trembit na połoninach gór marmaroskich. Repr. z filmu Piotr Kłapyta

stawne żywioły – ogień i woda. Symbolicznie oznacza to pojednanie sił natury, które tylko razem mogą otworzyć drogę ku światu duchowemu. Na Huculszczyźnie znaczenie tego instrumentu, bez którego jeszcze kilkadziesiąt lat temu nie wyobrażano sobie pobytu na połoninach – czyli wysoko położonych halach wypasowych – daleko wykracza poza prostą funkcję komunikacyjną. Trembita jest nadal medycznym narzędziem, poprzez które człowiek nawiązuje dialog z kosmosem, naturą i transcendencją. Jednym z dowodów na to jest przekonanie Huculów o nieczystym intonowaniu dźwięków tego instrumentu podczas pogrzebu w przypadku, gdy osoba pochowana miała „nieczystego ducha”. Jest to świadectwo głębokiej funkcji trembity jako pomostu między żywymi i zmarłymi, między ziemią i niebem, światem ludzi i bogów. Jeszcze w pierwszych latach po II wojnie światowej, dźwięk tego instrumentu rozbrzmiewał zaraz po śmierci gospodarza przed jego domem, potem dopiero towarzyszył konduktowi żałobnemu. Do niedawna towarzyszył też wykonaniu specjalnej kolędy dla zmarłych, gdy dusze przodków przychodziły do swoich dawnych sadyb. W ten sposób instrument stawał się narzędziem oczyszczenia i przewodnictwa, wskazując duszy drogę na ziemię i do zaświatów.

Brzmienie trembity kodowało też podstawowe opozycje kosmologiczne. Wysokie, jasne dźwięki odsyłały do „górnego piętra” kosmosu – życia, światła i boskości. Niskie, rozchwiane tony wiązano z chaosem, śmiercią i światem podziemi. W samym dźwięku obecny był zatem dramat kosmiczny – napięcie między życiem a śmiercią, światłem a ciemnością. W mitologii huculskiej gra na trembicie przypisywana była świętemu – każdy z nich uruchamiał jej dźwiękiem nową porę roku. Św. Jerzy otwierał wiosnę, św. Dymitr jesień, a św. Mikołaj zimę. W ten sposób instrument regulował rytm kosmosu, a jego brzmienie stapało się z promieniami słońca, „niesione” ku obliczu Boga.

Ta kosmologiczna interpretacja nie jest zresztą wyłącznym dziedzictwem Karpat. Od biblijnego szofaru, utożsamianego z głosem Boga, po alpejski alphorn czy skandynawski lur – archaiczne trąby pełniły podobne funkcje: ich brzmienie łączyło ludzi z potężnymi siłami natury i transcendencji. Gra na trembicie była więc nie tylko sygnałem, lecz aktem ofiarnym – oddaniem głosu kosmosowi i podtrzymaniem więzi między światem ludzkim a duchowym. Tak rozumiana muzyka nie była sztuką dla estetycznej przyjemności, lecz koniecznością – warunkiem życia, płodności i trwania Kosmosu. ■

Fotografie: Justyna Kłapyta

Połączyła nas miłość do Karpat

Rozmowa z Darią i Tomaszem Koškami

- Dariu, twoją pasją jest muzyka, śpiewanie wyniosłaś z domu?

DK: - Tak, zdecydowanie wyniosłam z domu, mój tata śpiewa, miał swój zespół, z którym zresztą jak byłam już na studiach, udało mi się jeszcze chwilę pośpiewać, ale graliśmy bardziej na weselach i różnych zabawach. A ja kocham śpiewać i zawsze śpiewałam, czasem rodzice już musieli mnie uciszać, bo muzyka towarzyszyła mi non stop, czy słuchałam muzyki czy sama śpiewałam. Śpiewałam w chórze szkolnym, w chórach cerkiewnych, później w chórze akademickim. W końcu jak już przeprowadziliśmy się z Tomkiem do Stalowej Woli, natrafiłam na Marianę Jarę z zespołu Widymo i dojeżdżałam na próby do Sanoka i tak już od 2011 roku śpiewałam z Widymo. W międzyczasie próbowałam swoich sił solo, miałam parę innych projektów np. „Lirofonie” - bardzo fajny projekt z lirnikami, udało mi się troszkę z nimi pośpiewać i był to trochę efekt warsztatów lirniczych, w których brałam udział. Oprócz tego jeszcze była Kapela na dobry dzień - zespół folkowy składający się z ludzi z Bieszczad, no i teraz, od 2019 Wernyhora.

- Jak się zaczęła wasza współpraca? Znajomość z Maciejem Harną zapewne od warsztatów lirniczych, a z Anną Oklejewicz?

DK: - Początkowo w 2019 r. połączyła nas muzyka dawna. Maciej Harna gra na lirze korbowej, a Anna Oklejewicz jest skrzypaczką i bardzo interesuje się muzyką dawną, gra także na dawnych instrumentach smyczkowych, m.in. na violi da gamba i wielu innych. Graliśmy muzykę średniowieczną, nie stroniliśmy od muzyki pogranicza, a potem, za sprawą covidowego stypendium od Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego skupiliśmy się na muzyce bojkowskiej realizując projekt „Bojkowski głos Bieszczadu”. Owoce projektu, w postaci kilku pieśni, bardzo spodobały się na Mikołajkach Folkowych, gdzie zdobyliśmy dwie nagrody, nagrodę publiczności oraz główną nagrodę i tak się zaczęło.

- Z Wernyhorą osiągnęłaś najwięcej sukcesów, płyty, koncerty... Wernyhora wypłynęła na szerokie wody, stała się rozpoznawalna w skali kraju. Jak ważne dla ciebie są koncerty na żywo?

DK: - Z Wernyhorą gramy od 2020 r. Pierwsze, szybkie, ale i niespodziewane sukcesy otworzyły przed nami wiele możliwości koncertowych. Ciągłe udaje się nam grać co najmniej kilkanaście koncertów w roku, w tym kilka na różnych, często wyśmienitych festiwalach. Rok temu za Annę Oklejewicz w zespole pojawiła się Adrianna Kafel-Woźniak, która podobnie jak Anna gra na instrumentach smyczkowych, ale nieco innych. Jej suka biłgorajska, czy fidel płocka wniosły nowe i atrakcyjne brzmienia na naszych występach. A koncerty? Koncerty, choć najczęściej odczuwam przed nimi treść to są dla mnie zawsze wyczekiwany spotkaniem z publicznością. Gdy gramy i gdy śpiewam nasze wernyhorowe pieśni często czuję reakcje, emocje zebranych. Aplauz i komentarze, które są zachętą i nagrodą, utwierdzają nas w tym, że warto tworzyć i przygotowywać się jeszcze mocniej do kolejnych działań



i koncertów. Oczywiście w ciągu roku bywają miesiące bez koncertów i wówczas czuję, że spada wyraźnie moja moc. Spotkanie z ludźmi uważnie słuchającymi naszej muzyki, moich opowieści o pieśniach, które wyśpiewuję, jest dla mnie energią do działania.

- Mąż Tomasz, etnograf, wspiera cię, ale też ma własne projekty?

TK: - Tak, i jest ich nie mało. Praca na rzeszowskiej uczelni i otwartość przełożonych na moje pomysły i projekty badawcze, stwarzają mi doskonałe środowisko do aktywnych działań. Kilka lat temu, też na covidowej fali projektów, zrealizowałem projekt dotyczący wielogłosu pamięci wokół trójstyku granic Polski, Słowacji i Ukrainy. Owocem tych działań jest portal www.wododzial.pl, ale także wystawa etnograficzna „Polifonia pamięci na granicach karpaccich światów” prezentowana dotychczas w Muzeum Etnograficznym w Rzeszowie oraz w Galerii STL w Lublinie, w której za pomocą fotografii, map i dźwięków opowiadam o pamięci w Bieszczadach przeciętych granicami kilku państw. Potem w wioskach pod Połoniną Krasną, wraz z warszawskimi przyjaciółmi Kamila Fiałkowską i Ignacym Jóźwiakiem, realizowaliśmy badania dotyczące lokalnych strategii ekonomicznych łączących kolektywne zbieractwo płodów leśnych i migracje. Z końcem roku zaś, we współpracy z ukraińską antropolożką Tiną Polek, ruszamy z realizacją projektu, w ramach programu Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej, poświęconego lokalnym strategiom radzenia sobie z efektami kryzysu klimatycznego na pograniczu polsko-ukraińskim. A to tylko najważniejsze aktywności.

- Zbliżyła was miłość do Karpat, takie wrażenie odnoszę. Jak to było?

DK: – Chyba tak, mąż też zafascynowany był zawsze społecznymi ukraińskimi i kulturą i pewnie dlatego to jakoś zadziało. Bo jakby z jego strony nie było takiej otwartości i ciekawości, no to pewnie nic by z tego nie wyszło. Dla mnie zawsze była ważna miłość do Karpat i do tradycji ukraińskiej, w której choć daleko od gór, bo w Białym Borze, wyrosłam. Ważnym dla mnie było też to, że Tomek nie miał nic przeciwko temu by nasz ślub był w cerkwi i że dzieci zdecydowaliśmy się też ochrzcić w cerkwi. Także cieszę się bardzo, że to tak wyszło.

– Masz ukraińskie pochodzenie. Kiedy się ukształtowała twoja świadomość narodowa, etniczna, we wczesnym dzieciństwie czy później?

DK: – W moim przypadku właściwie to trudno powiedzieć, dlatego że ja wychowałam się w rodzinie czysto ukraińskiej, więc dla mnie naturalnym było, że mówię po ukraińsku, to był mój pierwszy język. Dopiero po jakimś czasie zaczęłam rozróżniać, dostrzegać, że wszędzie dominuje język polski. Zresztą w przypadku naszej córki było podobnie. Jej pierwsze słowa jakie wypowiadała, też były w języku ukraińskim. Dopiero jak poszła do przedszkola, to już zaczęła sprawnie posługiwać się językiem polskim. Dla niej, przez wiele lat, nawet Biały Bór był taką, jak zawsze mówiła, Ukrainą. Nie rozumiejąc tego na początku, że jednak jest to Polska. Ja wychowałam się w środowisku dość zamkniętym. Większość mieszkańców swego czasu, jeszcze w latach 80-tych, to byli jednak Ukraińcy. Mój cały świat skupiał się na tym, że mam cerkiew greckokatolicką. Była szkoła, bo w Białym Borze jest szkoła podstawowa i liceum z ukraińskim językiem nauczania. I tańce ukraińskie, chór ukraiński, więc ja wyrosłam w tym.

– Taka mała Ukraina w Białym Borze.

DK: – Troszkę tak. Teraz to się zmienia, wiadomo, bo dużo ludzi wyjechało. Część się zasymilowała. A część wróciła tutaj, więc to już troszkę inaczej wygląda. Natomiast ja zostałam wychowana w tradycji ukraińskiej. Dopiero z czasem, jak już poszłam do przedszkola, chyba najbardziej do przedszkola, tam jednak większą styczność miałam z polskimi dziećmi.

No i oczywiście na podwórku gdzieś później te kontakty już były szersze, wiadomo, bo to jak dziecko, no to gdzieś pójdzie i jednak pozna się z różnymi innymi dziećmi. Ale też jakoś nie rozróżniałam tego bardzo. Wiedziałam, że są ludzie, z którymi się rozmawia po ukraińsku, a są ludzie, z którymi się rozmawia po polsku. Nie było to problemem nigdy żadnym.

– A gdzie się poznaliście?

TK: – Poznaliśmy się na Watrze Łemkowskiej w Żdyni, nie pamiętam w 2003 czy 2002 roku chyba to było. Przy czym to była taka przelotna znajomość. Natomiast tak się wydarzyło, że wtedy w Żdyni będąc kolegą ze Stalowej Woli rozbiliśmy namiot między namiotami, jak się później okazało, licealistów z Białego Boru i tak jakoś się zaprzyjaźniliśmy. Z jednym z poznanych kolegów, Andrijem Filem, notabene świetnym grafikiem, miałem kontakt cały czas, więc on później mnie zaprosił na Świat Weczir, urządzony w szkole przy okazji właśnie zbliżających się świąt Bożego Narodzenia, później na swoje urodziny. Tak się, że tak powiem, to dalej rozkręciło i wydaje mi się, że w jakimś tam stopniu udało mi się mocno zanurzyć w to środowisko w Białym Borze. Czasem to może dziwnie brzmi, bo z jednej strony jestem z wykształce-

nia etnologiem, antropologiem i też tą tematyką polsko-ukraińską się zajmuję badawczo, a z drugiej strony do tematów badawczo – naukowych w Białym Borze na początku w ogóle nie podchodziłem, tylko bardziej ciągnęło mnie do ludzi, którzy byli otwarci na mnie, którzy prezentowali taką kulturę, która mnie w jakimś stopniu interesowała. Pamiętam, będąc nastolatkiem, jeździliśmy na obozy harcerskie, czy w Beskid Niski, czy w Bieszczady, to zawsze taka ciekawość we mnie była, skąd te cmentarze, skąd te cerkwie, kto i co, a że tych ludzi tutaj w większości już nie było po wysiedleniach, więc szukając trafiłem do potomków tych, których wysiedlono. Zacząłem dotykać tej żywej kultury, tych tradycji, które jakoś oczywiście się przekształciły na przestrzeni tych sześciu, siedmiu dekad, ale które są w pewnych elementach odmienne od tego, co znałem ze swojego domu czy ze swojego otoczenia. Myślę, że też jakby dla mojego środowiska - kolegów, przyjaciół, z którymi się wychowywałem, czy no właśnie, te młodzieńcze przygody różne były, też było pewnym zaskoczeniem, że tu żonę przywiozłem. I że związałem się z kimś z Pomorza Zachodniego i w ogóle to Ukrainka i na ślubie dwie godziny w cerkwi stali i to też było dla nich pewnym ciekawym wyzwaniem, tak myślę.

– Byłaś wtedy na tej Watrze, w tym namiocie, po sąsiedzku?

DK: – Tak, po sąsiedzku. Pamiętam, że od samego rana, teraz mąż, wtedy nieznaną człowieka, szykował herbatę i wszystkich częstował dookoła. Ciepłą herbatą nas raczył.

– I tak cię ujął?

DK: – Wtedy nie, ale to nastąpiło później jak zaczął przyjeżdżać do Białego Boru na wspomniany Świat Weczir, czy urodziny przyjaciela, mojego sąsiada i to tak jakoś się zaczęło.

TK: – Te moje poszukiwania, trafienie do Białego Boru to są konsekwencją miłości do Karpat, no bo skoro nie było tych mieszkańców dawnych Karpat tu, a byli na północy, no to tam jakoś się udało trafić. Natomiast nasze pierwsze, nazwijmy to, narzeczeńskie różne podróże cały czas oscylowały wokół Karpat. Czy wschodnia Bojkowszczyzna, czy Zakarpacie, czy Huculszczyzna to takie szlaki, ścieżki, które wspólnie wówczas jeszcze z dziewczyną, partnerką czy jakkolwiek to się dziś określa, przemierzaliśmy. No i dziś już będąc od lat rodziną też w miarę możliwości staramy się zaglądać w różne ciekawe karpackie kąty, zwłaszcza po stronie ukraińskiej, bo te polskie Bieszczady i Beskid Niski są piękne, ale jakoś lubimy trochę takiej, jakby to powiedzieć, pustki. Bieszczady wyrosły nam tu na popularny produkt turystyczny, to oczywiście plus dla rozwoju regionu, ale powoduje to, że tych ludzi jest w tych Bieszczadach bardzo dużo. My lubimy te nasze ścieżki trochę pustsze, więc zapuszczamy się czy to w Turkiwski rejon, czy w Dolinę Użu, tak najbliższej od nas.

Decyzja o tym, żeby zamieszkać w Sanoku też była taka, by mieć zaraz pod ręką to co kochamy. Byłem taki podekscytowany jak się tu sprowadziliśmy, jeszcze był wrzesień, październik, po pracy zjadaliśmy szybki obiad i w 15 minut mogłem moich chłopaków ciągnąć po lesie bukowym, karpackim, by ich trochę zmęczyć, robić zdjęcia. Oczywiście mamy blisko na Ukrainę, czy wschodnią Słowację, ale przecież tuż za Sanokiem, z mojej perspektywy otwiera się przestrzeń do zrobienia fajnego zdjęcia, do oddychania pełną piersią, do usłyszenia dźwięków przyrody, no to jest coś, co powoduje, że ja tutaj dość mocno zapuściłem korzenie i szybko mnie stąd nikt nie wyrwie. Wiele rzeczy naszych,

w cudzysłowie projektów domowych, trochę biznesowych, trochę artystycznych, wszystko kręci się wokół Karpat, no bo Daria dużo czerpie z karpackiej muzycznej tradycji.

- Dario, wydobywasz z głębi niepamięci muzykę bojkowską i dajesz jeszcze swoje serce do tego.

DK: – Serce na pewno. Zależało mi na tym, żeby przybliżyć tradycyjne pieśni bojkowskie, chociaż w takiej trochę już współczesnej aranżacji, bo Bojkowie nie grali na lirach korbowych, ani na dawnych instrumentach smyczkowych. Raczej korzystali z instrumentów pasterskich, czy z drymby, czy skrzypiec, potem akordeonu, cymbałów. Zależało mi na tym, żeby odświeżyć tę pamięć, bo muzyki łemkowskiej czy huculskiej jest stosunkowo dużo czy w mediach, czy na koncertach. Natomiast bojkowska zawsze była gdzieś na uboczu albo nie było jej wcale, albo po prostu nie była określana jako bojkowska. Z racji tego, że w latach 40. po II wojnie światowej Bojkowie zostali przesiedleni z Bieszczad. Większa część została wysiedlona do Związku Radzieckiego, a część na ziemię odzyskane. Także o tyle trudno teraz dotrzeć w ogóle do tych pieśni.

- No właśnie jak poszukujesz tego repertuaru bojkowskiego?

DK: – W pierwszej kolejności zwykle sięgam do Kolberga, bo jednak dzieła wszystkie to jest dobre źródło pieśni tradycyjnych. Mąż jako etnograf też znalazł mi bardzo ciekawe pieśni, ale już na Zakarpaciu, choć też z Bojkowszczyzny. No to jest chyba taka najprostsza droga.

- A z rodziny? Coś z rodzinnych pieśni zachowało się trochę?

DK: – Niestety, jeżeli chodzi o rodzinne pieśni akurat moich dziadków ze strony mamy, to nie mam nic, bo dziadkowie nie śpiewali.

TK: – Babcia słysząc Cię mówiła, że Twój śpiew nadawałby się do łątkania, takiego śpiewu weselnego, jak dobrze pamiętam.

- Zapytałaś babci, co to jest łątkanie?

DK: – Ja wtedy orientowałam się już w tym, że łątkanie to były pieśni śpiewane przy obrzędzie weselnym. Łątkania najczęściej prowadziła jedna kobieta, która już była zamężna i to było na przykład przy pleceniu wianków. I właśnie któregoś razu babcia usłyszała mnie jak śpiewałam i mówiła, że „o, mogłabyś łątkać”.

- Komplement?

DK: – Tak, był to komplement. Wtedy jeszcze o tym tak nie myślałam. Z czasem to do mnie dotarło, chociaż ja już wtedy bardzo interesowałam się muzyką tradycyjną, to było chyba w szkole średniej.

- To jeszcze powiedz o twych piosenkach parę słów, jakże one są smutne, mówią o tym dawnym życiu. Szczególnie przyjmujące są te śpiewane z lirą.

DK: – Tak, lira powoduje, że właśnie pieśni nabierają niezwyklego charakteru, trochę takiego transu wprowadza do utworu. Natomiast jeżeli chodzi o same pieśni, to one są o trudnym życiu, o miłości, tęsknocie, ale i o tragediach, np. z Zakarpacia mamy taką jedną pieśń, „Oj u noczi”. Jest to straszna pieśń, gdyż ginie kobieta zabita przez własnego męża. Zabija on żonę za namiętność kochanki, później kochanka nie chce z nim być, bo on ma dużo dzieci i trudno by jej było wszystkie wychowywać. I on

wtedy przychodzi po rozum do głowy, ale jest już za późno, także są i takie drastyczne. Pieśni ludowe są bardzo różne, bardzo życiowe.

- Macie trójkę dzieci, która kultura jest im bliższa?

TK: – Z dzieciństwa naszej najstarszej córki Vesny pamiętam, jak dwa czy trzy lata miała, któregoś razu powiedziała tak dość swobodnie, że ona to ma jedno oko polskie, a drugie ukraińskie i wszystko lepiej będzie widziała w ten sposób. Pewnie ona sama tego nie pamięta, ale obserwując własną rodzinę, ale też z takiego etnologicznego punktu widzenia, wydaje mi się, że dzieci w takich rodzinach mają szansę szybko dostrzec, że świat jest wielowymiarowy, że nie sprowadza się tylko do jednej tradycji, ale że ludzie mogą właśnie świętować w dwa różne sposoby, że mogą z sobą się komunikować w dwóch różnych systemach językowych, że z częścią rodziny można po ukraińsku, z częścią rodziny po polsku. No i też w naszych rodzinach na szczęście żadnych problemów z jakimś takim otwarciem, akceptacją nie było, więc ani dla

Daria Kosiek – wokalistka grupy Wernyhora, z którą występowała szereg nagród m.in. Nagrodę Główną i Publiczności na Mikołajkach Folkowych w 2020 roku, I nagrodę na Festiwalu Nowa Tradycja w 2021 roku, oraz dwukrotnie II nagrody w konkursie Folkowy Fonogram Roku w latach 2022 i 2023 za płyty *Bojkowski głos Bieszczadu* i *Tolokę*. Ukrainka, żona Polaka **dra Tomasza Kośka** – antropologa społeczno-kulturowego, adiunkta w Instytucie Historii Uniwersytetu Rzeszowskiego prowadzącego etnograficzne badania w Polsce, Ukrainie i Rumunii – koncentrujące się na zagadnieniach etniczności, pamięci społecznej i dziedzictwie kulturowym. Daria i Tomasz tworzą zgrane ukraińsko-polskie małżeństwo, mają troje dzieci: córkę Vesnę oraz synów Jaremę i Kosmę.

jednych dziadków nie było zaskoczeniem, ani dla drugich, że tu ślub w cerkwi, że dzieci ochrzczone w cerkwi grekokatolickiej.

Wydaje mi się, że sięgając do swoich innych doświadczeń, nazwijmy to badawczych, z Karpat Wschodnich, z Zakarpacia, czy z Marmoroszu w Rumunii, to w takich społecznościach, gdzie jest tak nie jednowymiarowo, jest ciekawiej pod tym względem. To jest pewnego rodzaju bogactwo, że ludzie wiedzą, że sąsiad jest Węgrem, Rumunem, Ukraińcem, traktują to jako coś codziennego, normalnego, co też im daje pewnie, chociażby asumpt do tego, żeby świętować dłużej, że z tych naszych chrześcijańskich, katolickich świąt, można powiedzieć, robi się w cudzysłowie taki długi Ramadan, na szczęście bez postu, który można tutaj świętować na przestrzeni prawie dwóch tygodni.

- Uczy też tolerancji młodego pokolenia, że ktoś jest inny, to nie znaczy, że gorszy.

TK: – To na pewno. Niektórzy jak przyglądają się albo słyszą chociażby o naszej rodzinie albo o rodzinach prawosławnych czy grekokatolickich z okolic, są tacy zdziwieni jakby to było takie egzotyczne albo coś nadzwyczajnego. Dzisiaj chyba trochę rzeczywistość tak, ale 70-80 lat temu, czyli w pokoleniu ich dziadków, rodziców, małżeństwa mieszane było to coś normalnego, szkoda, że pamiętać o tym ginie. ■

Rozmawiała Jolanta Danak-Gajda

Huculska Madonna z Krzyworówni

Kiedy pierwszy raz przyjechałem do Krzyworówni, o dach cerkiew stały oparte dwie wysokie drewniane drabiny, a na nich dwaj mężczyźni z wiadrami i szczotkami malowali gonty. W powietrzu czuć było zapach surowej ropy naftowej. Miałem wrażenie, że cofnęliśmy się w czasie o co najmniej sto lat. Szpecące cerkiew blaszane pokrycie zostało zamienione na drewniane gonty. Prawosławna cerkiew pod wezwaniem Narodzenia Najświętszej Maryi Panny wzniesiona na wysokim brzegu Czarnego Czeremoszu odzyskiwała dawny urok. Nad wejściem wisiał wypłowiały od słońca obrazek Madonny z Dzieciątkiem, jakby pochodził z dalekiej przeszłości. Zachwyciła mnie ta Madonna, kiedy ujrzałem jej ikonę w pełnej krasie kolorów w cerkwi.

Cerkiew zbudowano w 1719 roku¹ na planie wydłużonego krzyża greckiego jako świątynię greckokatolicką. Jest orientowana, drewniana, trójdzielna, ze zdecydowanie wyższą nawą, nad którą wznosi się na ośmiobocznym tamburze kopuła. Nad nawą i babińcem są dachy dwuspadowe. Ściany otacza daszek okapowy. Pierwotnie zgodnie z tradycją wejście dla mężczyzn było od zachodu, dla kobiet od południa. Z czasem powstały dobudówki, jakby przedsionki przed wejściami. Nad częścią babińca jest chór. Cerkiew po delegalizacji obrządku greckokatolickiego w Sowietkim Sojuszu stała się prawosławna, dlatego mogła być nadal czynna i dzięki temu zachował się jej oryginalny wystrój. Nawę od prezbiterium oddziela czterostrefowy zabytkowy ikonostas. Wnętrze oświetlają drewniane kandelabry, misternie i bogato zdobione huculską snycerką. Ściany i strop pokryto polichromią figuralną i ornamentalną. W kilku miejscach na ścianach wiszą huculskie kilimy. Tego wnętrza nie da się opowiedzieć, tam trzeba być. Wszystkie ikony i obrazy, a nawet krzyże procesyjne przybrane są rusznikami, czyli liturgicznymi ręcznikami ozdobionymi wyszywkami.



Krzyworównia, plan ogólny wnętrza cerkwi



Cerkiew w Krzyworówni, prace przy malowaniu dachu, fot. K. Potocka

Proboszczem jest tu charyzmatyczny ojciec Iwan Rybaruk, który „swoją” cerkiew uważa za centrum świata. To on opowiedział nam o historii huculskiej Matki Boskiej w niebieskiej szacie wierzchniej i zielonej spodniej, z *peremitką* na głowie, i o Dzieciątku w *keptarze*, które to wizerunki w tej postaci objawiły się miejscowej malarce w 2004 r. Ten niebieski jest z nieba nad Ukrainą, zielony z czarnohorskich połonin, a *peremitka* jakby spieniona na bystrzu woda w Czeremoszu. Jezuska przyodziła w czerwień zachodzącego na Howerlę słońca. Ikony zgodnie z tradycją były *nierukotworne*, ale przecież każdą objawioną namalował człowiek. Ta krzyworównieńska w typie Hodegetrii tak właśnie powstała i jest prawdziwie huculska. Patronka twórczości wszystkich artystów, ale przede wszystkim patronka Huculszczyny. Jej święto miejscowi obchodzą 3 kwietnia i 8 września. Ojciec Rybaruk jako pierwszy *świaszczennik* na Pokuciu zerwał z juliańskim kalendarzem liturgicznym. Co roku na Boże Narodzenie 25 grudnia odbywa się tu słynne tradycyjne huculskie kolędowanie, co według ojca Iwana czyni to miejsce stolicą kolędniczą Ukrainy.

Krzyworównia po raz pierwszy pojawiła się na karcie dokumentu w 1654 r. Pod koniec XIX w. była własnością Przybyłowskich, z których wywodziła się matka Stanisława Vincenza. Spędził tam część swojego dzieciństwa, o czym wspominał w cyklu opowieści pt. „Na wysokiej połoninie”. W 1921 r. narodowość rusińską deklarowało 843 mieszkańców, polską 797 mieszkańców i 13 żydowską. Ale prawdę powiedziawszy tym, co podali, że są tutejsi, wpisano w ostatecznym rozrachunku narodowość polską. A tutejszość w rzeczywistości oznaczała, że też są Rusinami i Huculami z dziada pradziada, bo poza kilkoma rodzinami Polaków i Żydów innych mieszkańców tu nie było.

Wieś nadal ma 9 przysiółków. Część jest w dolinie Czarnego Czeremoszu, część na wierchu, czyli na górskich stokach, gdzie grażdzy bezpośrednio z sobą nie sąsiadują, bo między nimi są połoninki dla wypasu owiec i kośby. Tutejsza Krzyworównia przestała istnieć w wyniku II wojny światowej. Najpierw Niemcy zgładzili Żydów, potem w marcu

1944 r. bojówka UPA zamordowała 10 Polaków, wreszcie rosyjska władza usiłowała stalinowskimi metodami m.in. za pomocą zsyłek wynarodowić Huculów. Romantyczne Pokucie, jak je postrzegali Polacy, schamało, gdy go we władanie wzięli zsovietyzowani hajdamacy. W wolnej Ukrainie odradza się religijnie i skutecznie odnajduje swoją tożsamość kulturową.

Krzyworównię na przełomie XIX i XX wieku do czasu I wojny światowej odwiedziło kilkadziesiąt ważnych dla ukraińskiej kultury osobistości. W latach 1901-1914 wielokrotnie bywał tu poeta Iwan Franko, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli ukraińskiej literatury. Pracował i wypoczywał, łowił pstrągi w Czarnym Czeremoszu i chodził na grzyby. W 1911 r. odwiedził wieś Michajło Kociubyński, autor m.in. „Cieni zapomnianych przodków” opartych na tutejszej mitologii i folklorze. W liście do Maksyma Gorkiego napisał: *Huculi to bardzo oryginalny lud, o bogatej fantazji i swoistej psychice. Hucul, niczym poganin zamierzchłych czasów, spędza całe życie aż do śmierci na walce ze złymi duchami, zapętniającymi lasy, góry i wody. Chrystianizm wykorzystał on tylko dla upiększenia swego kultu pogańskiego. Ile tu pięknych podań, baśni, wierzeń, symboli!*²

Bywali tu także tacy literaci jak Łesia Ukrainka, Olga Kobyłańska, Osyp



Cmentarz w Krzyworówni, autor przy stole biesiadnym, fot. K. Potocka

Makowij i Hnat Chotkewycz, pisarz i założyciel teatru huculskiego, który wystąpił m.in. w Warszawie. Bywał także Włodzimierz Szuchiewicz, autor czterotomowej „Huculszczyzny”, i malarz Iwan Trusz, uczeń Leona Wyczółkowskiego, oraz Mychajło Żuk, absolwent krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, pionier ukraińskiej secesji. Miał tu swoją willę Mychajło Hruszewskij, pierwszy prezydent Ukraińskiej Republiki Ludowej w latach 1917–1919. Iwan Franko i Mychajło Hruszewskij w czasie swoich pobytów często uczestniczyli w niedzielnych nabożeństwach w cerkwi.³ Obecnie w domu, w którym pomieszkiwał Franko, jest muzeum regionalne jego imienia.

Vincenz wspomina, że w Krzyworówni było dwa „chramy, czyli odpusty cerkiewne – na chesną Ryżę i na Bohorodycę jesienną”, czyli pierwsze święto przypadało 2 lipca, kiedy obchodzi się Nawiedzenie Matki Boskiej, i drugie 28 sierpnia, kiedy jest obchodzone święto Zaśnięcia Najświętszej Bogurodzicy. Vincenz to drugie święto *chramowe* lokuje 31 sierpnia, ale w ten dzień nie ma święta maryjnego w żadnym kalendarzu liturgicznym, ani katolickim, ani prawosławnym.

S. Vincenz napisał: *W didową sobotę wiosenną naokoło grobów, na podwórku cerkiewnym, kładą na grobach kołaczce poświęcone, miodowniki z gorejącymi świeczkami woskowymi i dzbany z mlekiem. I zapraszają gości, częstują. Proszą Boga, aby ich chęć dobrą położył przed dusze zmarłych. Spożywając razem z gośćmi, wciąż wspominają zmarłych, ciesząc się pogodą wiosenną, ciesząc się słońcem. Nigdzie nie ma wyjaśnienia, kiedy przypada to święto, które jest być może tylko lokalnym w Krzyworówni. Otóż obchodzono je w pierwszej sobotę po niedzieli wielkanocnej. Określenie „didowa” pochodzi od greckiego „didymos”, jak określano świętego Tomasza, a zatem jest to Tomaszowa sobota.*

I dalej pozostając przy Vincenzie: *W dziadową sobotę (nie mylić z didową), przed chramem, zeszli się ludzie koło cerkwi na cmentarzu w Krzyworówni. Tłoczyli się naprzód tłumnie do cerkwi. Poprzylepiali do kołaczy świece woskowe i zapalili je krzesiwem i hubką. Potem każdy zapalił przyniesione ze sobą tureckie kadzidło. Lecz wychodzili znów na cmentarz, bo w cerkwi było duszno i tak ciemno od kadzidła i dymu, że na krok nie było widać. Siedząc na cmentarzu, gwarzyli spokojnie dumnym zadowoleniem, jakby czas się zatrzymał. Jakby ten dzień był ich celem życia.*⁴ Z kolei „dziadowa sobota” jest ruchoma, bo poprzedza dzień św. Dymitra, który wypada 8 listopada. Jest to w pewnym sensie odpowiednik naszego święta zmarłych.

W Krzyworówni przy wielu grobach są stoły i ławki do siedzenia, co dowodzi, że nadal odbywają się tu starodawne obrzędy karmienia dusz. W *didową* sobotę rodziny zmarłych przynoszą w koszach kołaczce, kaszę, miód, jajka, kutię i wódkę. Stawiają kosze przy grobach przodków. Po ich poświęceniu przez *świaszczennika* przystępują do uczt. Części spożywanych potraw pozostawiają na grobach, które skrapia się wódką. Ma to zapewnić zmarłym spokój w zaświatach i jednocześnie zyskać przychylność dla żyjących członków rodzin. *Dusze radują się, bo wszystko to, co na tym świecie z czystą intencją za duszę zje się i wypije, pojawia się na ich niebieskich stołach.*⁵

Na cmentarzu w Krzyworówni na wielu krzyżach nagrobnych wiszą białe *ruszniki* wyszywane haftem krzyżyko-

wym czerwoną i czarną nicią. Jest to, jak sędzę, zapewne nie zmarłych o pamięci rodziny i szacunku, ale niewykluczone, że także oczekiwanie wsparcia, jakie może płynąć z zaświatów. *Rusznik* wiszący na krzyżu nagrobnym staje się w tym przypadku magicznym pomostem między światem i zaświatem.

Przy cerkwi, jak pisze Vincenz, była wolnostojąca dzwonnica, a w niej trzy dzwony mające swoje odwieczne nazwy: dzwon Pop Iwan największy, średni Popadia Odokia i najmniejszy zwany Diaczkiem. Każdy miał inną barwę tonu. Dzwonnica zbudowana w 1818 r. jest już zabytkiem. Teraz dzwony wiszą już w nowej dzwonnicy i jest ich pięć, ale tylko przy Odoki i Diaczku wiszą sznury do dzwonienia. Na cmentarzu stoi kaplica grobowa Przybyłowskich, dawnych właścicieli tutejszego majątku ziemskiego.

Naprzeciw cerkwi, po drugiej stronie Czarnego Czeremoszu zachowała się huculska grażda, w której m.in. kręceno sceny do filmu pt. „Cienie zapomnianych przodków”. Jest w niej trochę dawnych gospodarskich sprzętów. Film powstał w 1964 r. na kanwie powieści wspomnianego już Michajła Kociubyńskiego. Reżyserem był Ormianin Siergiej Paradżanow. Film zdobył międzynarodowe uznanie. Zachwycił wielu. Sięgnąłem do opinii, jakie znalazłem w internecie. Oto kilka z nich: **Folklorystyczna opowieść unurzana na poły w liturgicznym uniesieniu prawosławia, na poły w rosyjskim mistycyzmie. *Aż czuć tą wieś: góry, siano, lasy, ogniska. Magicznie rustykalny. Pierwiastki prostoty, dziwactwa i baśniowości. *Ciekawie ogląda się to będąc na granicy snu ze względu na niezwykle, oniryczne obrazy i to zagęszczenie dźwięków. *Huculski sen. Skupiony na opowiadaniu obrazem i dźwiękiem, surrealny, magiczny a niemal dokumentalny. Kino etnograficzne najwyższej próby.*

W tamtej odległej już w czasie Krzyworówni z czasów Stanisława Vincenza, Huculi na Czarnym Czeremoszu zbijali daraby. Była zatem rzeka odtąd w pewnych okresach spławna i nie trzeba było obawiać się zahaty. Najpierw byrnie z portaszy pojedynczo po bystrzach spuszczały tu z gór cugary i na mygłe, które my nazywamy bindugą, wiązali je w tratwy. A stąd do Prutu i przez Bukowinę i Rumunię aż do Dunaju.

Dawniej mówiono o Krzyworówni „Ukraińskie Ateny”. M. Orłowicz w „Ilustrowanym przewodniku po Galicji” nazywa wieś „Ukraińskim Zakopanym”, bo na lato przyjeżdżali tutaj turyści, ale także ukraińscy uczeni, artyści i literaci.⁶ Teraz jest wojna i chociaż na Pokuciu ludzie starają się żyć normalnie, nic już normalnym nie jest, tylko wiary w ludziach przybyło i jest jej coraz więcej.

Fot. Andrzej Potocki

Przypisy

1. Tadeusz Spiss w „Wykazie drewnianych kościołów i cerkwi w Galicji”, wydany w 1912 r., podaje, że cerkiew w Krzyworówni pochodzi z 1810 r.
2. J. A. Choroszy, *Huculszczyzna w literaturze polskiej*, Wrocław 1991, s. 349.
3. H. Kutaszczuk, Iwan Franko u Jakibiuków w Krzyworówni nad Czeremoszem, „Płaj” 52/2016.
4. S. Vincenz, *Na wysokiej połoninie*, *Prawda starowieku*, s. 232, Sejny 2002.
5. K. Kwiecień, *Świętowanie po huculsku*, „Płaj” nr 35/2007.
6. M. Orłowicz, *Ilustrowany przewodnik po Galicji*, Lwów 1914.

dr Łukasz Bajda

Dynastia inżynierów

W historii polskiego przemysłu naftowego nie brakuje ludzi o interesujących biografiiach. Bywało też, że w pracę w naftownictwie zaangażowani byli przedstawiciele kilku pokoleń jednej rodziny. Chciałbym przybliżyć historię rodziny Mikuckich, których dwóch przedstawicieli – Leon i Andrzej związani byli z galicyjską naftą.

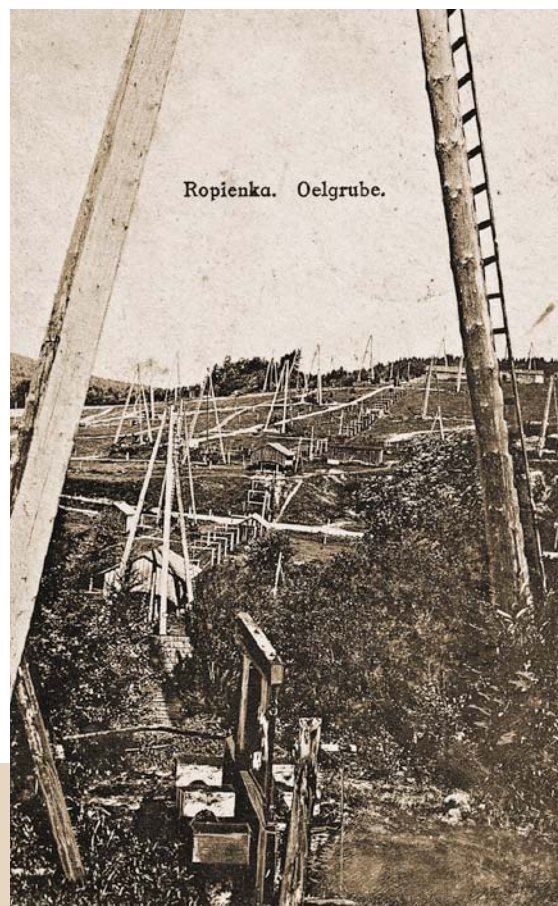
O znaczeniu Mikuckich świadczy m.in. fakt, że w Polskim Słowniku Biograficznym zamieszczono hasła dotyczące Leona, jego ojca (również Leona) oraz syna Andrzeja. Mikuccy herbu Ślepowron wywodzili się z miejscowości Mikuty w ziemi wiskiej na Mazowszu. Stąd przedstawiciele rodziny przenieśli się w czasach staropolskich na wschodnie tereny Rzeczypospolitej. Tutaj w guberni witebskiej przyszedł na świat Jerzy Stanisław Mikucki, który nie mając majątku trudnił się pracą nauczyciela i wychowawcy. Przez dwanaście lat przebywał w tym charakterze w Guzowie pod Żyrardowem, kształcąc synów Henryka Łubieńskiego.

Inspektor na budowie kolei łupkowskiej

Najstarszy syn Jerzego Stanisława – Leon (1828–1912) po śmierci ojca w 1837 roku zamieszkał w Krakowie, gdzie jego matka prowadziła prywatną pensję dla kobiet. Studiował inżynierię i architekturę w Berlinie i Paryżu. Prawdopodobnie podczas studiów pracował przy restauracji Luwru. Po powrocie do domu znalazł zatrudnienie przy budowie kolei na terenie całej Galicji. Był m.in. inspektorem na budowie kolei łupkowskiej. Brał udział w wytyczaniu linii oraz nadzorował budowę mostów i wiaduktów. W późniejszym okresie działał na terenie Królestwa Kongresowego. Jego specjalnością były linie kolejowe, ale podejmował się również innych zleceń. W 1884 roku kierował budową słynnego pałacu carskiego w Spale oraz otaczających go zabudowań gospodarczych. Po powrocie do Krakowa zaangażował się w działalność tamtejszego Towarzystwa Technicznego. Przez wiele lat zasiadał w redakcji czasopisma wydawanego przez tę organizację. Z małżeństwa z Anielą z Girtlerów pozostawił dwóch synów i pięć córek. Leon Mikucki zmarł w 1912 roku i został pochowany w rodzinnym grobowcu na Cmentarzu Rakowickim.

Leon Mikucki junior

Starszy syn inżyniera kolejowego Bogusław Mikucki (1862–1940) został plenipotentem w dobrach Potockich w Krzeszowicach. Młodszy, który był imiennikiem ojca, poszedł w jego ślady i podjął studia politechniczne. Kształcił się w Wiedniu i Lwowie. Po uzyskaniu dyplomu przez rok



Tereny naftowe
w Ropience
przed stu laty.
Zbiory Ł. Bajdy

pracował na Politechnice Lwowskiej jako asystent w katedrze budowy maszyn. Wkrótce jednak porzucił uczelnię na rzecz przemysłu naftowego. W 1891 roku odbył praktykę w słynnej kopalni w Bóbrce, następnie piastował funkcję kierownika różnych kopalni. Kolejnym etapem kariery Leona Mikuckiego juniora było założenie w 1900 roku własnego przedsiębiorstwa do spółki z Karolem Perutzem. Wspólnicy, prowadząc z powodzeniem prace na kopalni „Feiler” w Borystawiu, wzbudzili zainteresowanie innych przedsiębiorstw do podjęcia głębokich wierceń na terenie tamtejszego zagłębia naftowego. Wnuk Leona Mikuckiego napisał po latach: „Odkrycie wielkiej ropy uczyniło dziadka nie tylko człowiekiem znanym w Borystawiu, ale i majątnym. Na wiele było go teraz stać i na wiele mógł sobie pozwolić. Świadectwem tego stał się zakupiony we Lwowie dom (...). Na ścianach zawisły szkice Matejki, Michałowskiego i Talowskiego, obra-



Leon Mikucki junior.
Zbiory A. Mikuckiego,
za: *Ustrzyki Dolne. Dzieje
społeczno-gospodarcze*,
t. 2, s. 163



Pola naftowe na terenie Brelikowa 1937 r. Zbiory A. Mikuckiego

zy Fałata i Wyczółkowskiego, a splendoru dodawał portret ojca pana domu pędzla Olgi Boznańskiej”. Leon Mikucki był wielkim fanem rodzącej się motoryzacji i należał do grona pierwszych właścicieli samochodów w Galicji.

W 1904 roku Perutz i Mikucki zostali współnikami Mojżesza Hermanna Reicha, właściciela rafinerii w Ustrzykach Dolnych. Ich udział w spółce z Reichem wynikał z predyspozycji fachowych oraz faktu, że posiadali kilka kopalń, które mogły zapewnić ustrzyckiemu zakładowi dostęp do surowca. Wkrótce rafineria stała się częścią Galicyjskiego Górniczego Towarzystwa Naftowego, znanego jako Towarzystwo Akcyjne „Montan”, którego inicjatorami i udziałowcami byli m.in. Leon Mikucki, Karol Perutz i Maurycy Reich. W tym czasie w zakładzie w Ustrzykach Dol-

nych produkowano m.in. naftę, benzynę, oleje maszynowe i parafinę. Produkty te za pomocą sklepów i składnic galicyjskich Kótek Rolniczych, mogły docierać do niemal wszystkich miejscowości zaboru austriackiego. Pod koniec I wojny światowej Towarzystwo Akcyjne „Montan” zostało przejęte przez Towarzystwo Akcyjne dla Przemysłu Olejów Mineralnych w Pardubicach (dawniej Dawid Fanto i Spółka) – naftowego giganta założonego przez Dawida Fanto.

Dobłą passę w interesach przerwały niepowodzenia związane z pogłębianiem jednego z borysławskich szybów. Leon Mikucki zadłużwszy się na konto spodziewanych zysków, z braku efektów, zdecydował się pozbyć swoich udziałów w spółce. Ostatecznie wielka ropa pojawiła się w dwa tygodnie po przeprowadzonej transakcji. W 1910 roku inżynier Mikucki zrezygnował z prowadzenia działalności na własne ryzyko i został dyrektorem kopalń, a w późniejszym okresie

także członkiem rady nadzorczej Galicyjsko-Karpackiego Towarzystwa Naftowego – firmy założonej przez Williama Henry’ego McGarveya. Leon Mikucki zasłynął jako twórca wielu udoskonaleń w technice wiertniczej oraz elektryfikacji przemysłu naftowego. Opatentował szereg wynalazków, które znalazły szerokie zastosowanie – m.in. przenośny ryg wiertniczy wykonany z grubych dębowych belek. Zmarł w Krakowie 8 października 1920 roku.

W Bieszczadach

Syn Leona juniora – Andrzej Mikucki (1896–1970) to już inżynier w trzecim pokoleniu. W młodości ukończył jedno z lwowskich gimnazjów i odbył praktykę wiertniczą w Borysławiu. W 1915 roku otrzymał dyplom wiedeńskiej Akademii Handlowej i podjął pracę w fabryce maszyn wiertniczych oraz rafinerii w Gliniku Mariampolskim. Następnie rozpoczął studia na Wydziale Mechanicznym Politechniki Lwowskiej. Kształcenie przerwały burzliwe lata 1919–1920, gdy Andrzej Mikucki służył jako lotnik w Wojsku Polskim. Po ukończeniu studiów w 1922 roku rozpoczął pracę w bieszczadzkiej Wańkowej, w kopalni, która weszła w skład koncernu „Małopolska”.

W 1926 roku Andrzej Mikucki poślubił młodszą od siebie o pięć lat Anielę Pragłowską, córkę właścicieli majątku w Raczkowej i zarazem wnuczkę Tymona Bala ze znanej w dawnej ziemi sanockiej rodziny szlacheckiej. Małżonkowie zamieszkali na pierwszym piętrze zachowanej do dziś w Ropience willi kopalnianej. Pod koniec pierwszego roku małżeństwa na świat przyszedł syn Andrzej,



Andrzej Mikucki i Tomasz Łępkowski przed magazynem kopalni Wańkowa. Zbiory A. Mikuckiego

a półtora roku później córka Teresa. Andrzej Mikucki senior odpowiedzialny był za elektryfikację kopalni. Jak po latach napisał jego syn: „Swoje nowe powinności potraktował serio i odważnie. Dlatego w ciągu kilku lat doszło tu do prawdziwej energetycznej rewolucji. Wszystkie parowe maszyny z kotłami opalany dotąd ropą zlikwidowano i zastąpiono napędami elektrycznymi. Stało się to możliwe dzięki zaprojektowaniu przez ojca, a następnie wybudowaniu i uruchomieniu sieci oraz czterech niewielkich elektrowni prądu stałego, napędzanych silnikami gazowymi – ten gaz uznawany wcześniej za balast spalano pochodnią. Ta profesjonalnie przeprowadzona elektryfikacja spotkała się z wysoką oceną specjalistów i przyniosła ojcu zasłużone uznanie. Stała się też przedmiotem jego referatu na V Zjeździe Naftowym we Lwowie (1931). Teraz wszystko można było już »robić« elektrycznie: wiercić, pompować i remontować otwory produkcyjne. Po latach – również z jego inicjatywy – sieć tę zmodernizowano i włączono w system wysokonapięciowego zasilania rejonu.”

Po wybuchu II wojny światowej i nacjonalizacji kopalń ropy naftowej przez okupanta sowieckiego, Andrzej Mikucki nadzorował wiercenia na terenie kopalń w Tyrawie Wołoskiej, Krecowie, Dobrej, Stańkowej i Łodynie. Pracę w przemyśle naftowym kontynuował również pod okupacją niemiecką, a także po wyzwoleniu. Podobnie jak jego ojciec odznaczał się zamiłowaniem do innowacji i wynalaz-



Elektrownia kopalni Wańkowa. Zbiory A. Mikuckiego

ków, za które otrzymywał liczne nagrody. Zmarł 7 marca 1970 roku w Krakowie.

Spotkania w Katowicach

Dziesięć lat temu otrzymałem wiadomość od Andrzeja Mikuckiego z Katowic, który jako potomek rodziny Balów herbu Gozdawa przysłał mi wiadomości uzupełniające treść mojej pierwszej książki. Z wiadomości wynikało, że mój korespondent przekroczył już 90. rok życia i jest synem wspomnianego wyżej Andrzeja Mikuckiego oraz Anieli z Prażowskich, której matka pochodziła z rodziny Balów. Nawiazaliśmy wówczas korespondencję. Kilkakrotnie odwiedziłem pana Andrzeja w jego katowickim domu. Wówczas też poznałem barwne losy inżynierskiej rodziny Mikuckich. Nasza znajomość zaowocowała opublikowaniem przez niego na łamach „Bieszczadów Odnalezionych” dwóch interesujących tekstów historycznych, opartych na wspomnieniach i dokumentach rodzinnych. Publikacji drugiego z nich pan Andrzej już nie doczekał. Do lektury obu zachęcam wszystkich bardzo serdecznie. Warto również zapoznać się z krótkimi biogramami ojca, dziadka i pradiadka pana Andrzeja w Polskim Słowniku Biograficznym. ■



Andrzej Mikucki w 1949 roku ukończył studia na Politechnice Śląskiej, a następnie pół wieku przepracował w branży maszyn górniczych. Tym samym był inżynierem w czwartym z rzędu pokoleniu Mikuckich. Na emeryturze zajął się badaniem i opisywaniem dziejów swojej rodziny. Zmarł w wieku niespełna 96 lat, w dniu 26 czerwca 2022 roku w Katowicach, z którymi związany był przez całe dorosłe życie. Rodzinne tradycje inżynierskie kontynuowane są przez syna i wnuka pana Andrzeja.

Unikalny Vlkolíneček to nie skansen – ma swoich mieszkańców

Charakteryzując skanseny – muzea architektury ludowej, zwykle używa się wyrażenia „tu zatrzymał się czas”. Przypadek podgórskiej osady Vlkolíneček (na wysokości 718 m n. p. m.), która administracyjnie należy do miasta powiatowego Ružomberok w środkowej Słowacji, potwierdza jednak, że istnieją wyjątki od takich twierdzeń. Mimo że miejscowość jest pełna starych budynków, to jednak żyje. Ma swoich stałych mieszkańców, zarówno młodych, jak i emerytów, obecnie około 20 osób. Vlkolíneček nie jest więc skansenem, mimo że przybywają tu tysiące turystów, aby podziwiać obiekty ludowej architektury. Jest właśnie unikatem dzięki takiej kombinacji. Podkreślony wpisem na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturowego UNESCO. Stało się to w 1993 r. podczas 17. sesji Komitetu Światowego Dziedzictwa UNESCO, którego członkowie zebrali się w mieście Cartagena w Kolumbii.

Co zdecydowało o tym, że Vlkolíneček znalazł się w tak prestiżowym gronie? Z jednej strony osada (dostępna po zjeździe z głównej drogi łączącej Ružomberok i Bańską Bystrycę) rozciąga się na słonecznym południowym zboczu jednego z cyplów liptowskiej części głównego grzbietu Wielkiej Fatry. Nad tym przepięknym środowiskiem naturalnym góruje widoczna ze wszystkich stron góra Sidorovo (1099 m n.p.m.).



W połączeniu z tym otoczeniem malowniczo prezentują się wszystkie zachowane zabytki architektury ludowej skupionej w drewnianej osadzie z długimi podwórkami, których jest łącznie 45. Domki zrębowe są zbudowane na stromym zboczu w klasycznym stylu liptowskim, z obrobionych pni drzew iglastych ułożonych na kamiennej podmurówce. Dachy jednokondygnacyjnych domów ludowych z przełomu XIX i XX wieku pokryte są drewnianymi gontami, ponieważ drewno było kiedyś najłatwiej dostępnym materiałem do produkcji pokryć dachowych.

Dom z bierwion składa się z trzech pomieszczeń na planie prostokąta – przedpokoju, który służył jako kuchnia, spiżarni do przechowywania żywności i narzędzi oraz pokoju, który służył jako przestrzeń mieszkalna do wszystkich czynności, a także do spania dla całej rodziny. Ściany domów, ze względu na wyrównanie stromego zbocza, zbudowane są na wysokich kamiennych podmurówkach i są zrębowe z częściowo lub całkowicie ciosanych bali. Szczeliny między balami wypełniają drewniane przyrządy o przekroju trójkątnym i glina. Budynki gospodar-



Jeden z zabytkowych drewnianych domów

cze (podwórza, stajnie i chlewy) stoją na działce samodzielnie lub są dobudowane do domu. Lokalną osobliwością jest to, że te drewniane domy są pomalowane kolorową farbą wapienną. Już w okresie po II wojnie światowej miejscowi zdali sobie sprawę z wyjątkowości zachowania oryginalnej architektury i Vlkolínec został ogłoszony zabytkowym rezerwatem architektury ludowej. Nieco później odkryto, że taka wyjątkowość nie jest unikalna tylko na Słowacji, ale także w skali całego świata. I tak trafił na listę UNESCO. Według dostępnych zapisów powstanie Vlkolíńca, pierwotnie osady drwali i węglarzy, datuje się na okres między drugą połową XIV a pierwszą połową XV wieku. Największy rozkwit odnotowano na przełomie XIX i XX wieku, kiedy to mieszkało tu do 350 mieszkańców.

Pierwsza pisemna wzmianka o wsi pochodzi z 1461 r., ale badania archeologiczne na zboczach wzgórza Sidorovo wykazały ślady osadnictwa celtyckiego.

Osobą najbliższą turystom we Vlkolíńcu jest przewodnik Štefan Dvorský młodszy, historyk z wyższym wykształceniem. „Jeśli domy nie są własnością prywatną, należą do Muzeum Liptowskiego z siedzibą w Liptowskim Mikulasu. Jedynie spichlerz jest zarządzany przez miasto Ružomberok, w którym znajduje się dom UNESCO. Tak zwany dom ludowy należy do stowarzyszenia obywatelskiego Vlkolíńec” – wyjaśnia. Każdego zwiedzającego oprowadza oczywiście do najstarszego zachowanego zabytku w osadzie. Jest to dzwonnica z 1770 r., budowla zrębowa o planie prostokąta. Fasada dzwonnicy pokryta jest gontem. Oprócz dzwonnicy w centrum osady znajduje się studnia, a nieco dalej murowany kościół i szkoła. Ta ostatnia pochodzi z 1892 r. i obecnie mieści się w niej klasa lekcyjna urządzona jak dawniej oraz galeria, ma prywatnych właścicieli. Są nimi Jozef Bradiak i Štefan Dvorský starszy. Przez środek wsi przepływa strumień wypływający ze zboczy wzgórza Sidorovo, pierwotnie jednak płynął poza osadą.

Wspomniany kościół rzymskokatolicki Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny pochodzi z 1875 r., a przebudowie został poddany w latach 1923 i 1941. Pierwotnie w tym miejscu znajdowała się kaplica będąca częścią lokalnego cmentarza. Ko-



Wnętrze jednego z domów – kuchnia

ściół jest jednonawową późno klasycystyczną budowlą z wielobocznym zakończeniem prezbiterium i wieżą. Ma gładką fasadę z półokrągłymi oknami. Wewnątrz znajdują się działające organy, czternastoczęściowy cykl scen z Drogi Krzyżowej oraz prosty ołtarz z obrazem Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny. Obecnie odbywają się w nim niedzielne i świąteczne nabożeństwa.

Š. Dvorský mł. wspominał również okres podczas Słowackiego Powstania Narodowego i po nim w 1944 r. Mieszkańcy osady włączyli się do antyfaszystowskiego ruchu oporu (przypomina o tym dziś tablica pamiątkowa na jednym z domów), jednak po stłumieniu powstania nasi zemścili się. Około jedna trzecia osady została przez



Dom UNESCO

nich spalona. Znanyim mieszkańcem Vlkolíńca był ksiądz Pavol Horský (1924–1995, któremu poświęcona jest tablica pamiątkowa na ścianie kościoła, w którym działał i którym się opiekował), ale z Vlkolíńcem związana jest również postać Ladislava Holdoša (1911–1988), który miał burzliwy los jako bojownik antyfaszystowski, skazany w procesach politycznych w latach 50. XX wieku, a następnie funkcjonariusz komunistyczny.

Czasami fakt, że dany region omija postęp techniczny lub gwałtowny boom budowlany, przynosi również korzyści. Vlkolinec zachował swoją wyjątkowość właśnie dzięki izolacji. Aż do połowy XX wieku do osady prowadziły tylko polne drogi i nie było tu prądu. Dziś turyści z nowoczesnymi aparatami fotograficznymi i udogodnieniami komunikacji mobilnej mogą podziwiać dawną architekturę, ale także doświadczyć jej osobiście. Przez ten obszar, będący częścią Parku Narodowego Wielka Fatra, przebiega bowiem trasa rowerowa, a właściciele wielu drewnianych domów w osadzie oferują możliwość zakwaterowania.

W tym miejscu można również znaleźć ślady słowacko-polskiej współpracy transgranicznej wspieranej ze środków Unii Europejskiej, a dokładniej z Programu Współpracy Transgranicznej Interreg Polska – Słowacja 2021–2027. Miasto Ružomberok wraz z miastem Wiśła w Województwie Śląskim realizuje od października 2024 r. do kwietnia 2026 r. projekt pod nazwą „Po drodze tradycji / Cestou dreva” (PLSK.03.01-IP.01-0004/23). Projekt ten ma na celu rozwój wspólnego potencjału turystycznego w Ružomberoku i jego okolicach (a więc również we Vlkolíńcu) oraz w Wiśle, a jego budżet wynosi 712 602,85 euro.

Współpraca obu miast rozpoczęła się w 2022 r. i intensyfikowała się po podpisaniu umowy partnerskiej 1 czerwca 2023 r. W ramach części inwestycyjnej projek-



Kościół rzymskokatolicki Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny

tu, w okresie od kwietnia do grudnia, za kwotę prawie 90 tysięcy euro zostaną zainstalowane nowe elementy małej i dużej architektury w Vlkolíńcu (m. in. wymiana oświetlenia publicznego, nowe ławki, stojaki rowerowe, kosze na śmieci, witryny) w celu poprawy

i zwiększenia dostępności oraz dostępu do tej lokalizacji UNESCO. W ramach projektu miasto Wiśła wybuduje fragment o długości ponad jednego kilometra ścieżki pieszo-rowerowej wraz z wyposażeniem przy habsburskiej osadzie gospodarczej „U Startów Wisły”.

Kolejnym zadaniem projektu były letnie festiwale dziedzictwa kulturowego oraz prezentacja oferty turystycznej pt. „Wy u nas, my u Was”. Wynikiem działań w zakresie wzmocnienia wspólnej oferty turystycznej, prezentacji i promocji wspólnego obszaru transgranicznego jest m. in. dwujęzyczna aplikacja mobilna, wspólna platforma internetowa, drukowane materiały promocyjne z mapami.

Vlkolinec ma w całej Europie tylko dwóch „krewnych”, którzy znajdują się w jego bezpośrednim sąsiedztwie. W komitacie Nowogród w okręgu Szécsény na północy Węgier leży miejscowość Hollókő (w tłumaczeniu „kruczy kamień”, ma powierzchnię 518 ha i mieszka tu około 400 mieszkańców). Właśnie stara część wsi stanowi typową tradycyjną wioskę węgierską. Nie jest to skansen, do którego przeniesiono i zmontowano domy z różnych części kraju, ale prawdziwa, zachowana historyczna wioska, która ponadto nadal „żyje” – tzn. nadal mieszkają w niej na stałe mieszkańcy. Mają oni do dyspozycji wszystko, co niezbędne. W historycznej części znajduje się również budynek poczty. Ze względu na swoje wyjątkowe walory w 1987 r. wieś została wpisana na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturowego UNESCO.

Trzecią i najmłodszą „w grupie” jest wieś Hlašovice – położona około 16 km na zachód od Czeskich Budziejowic w południowych Czechach. W 1998 r. została wpisana na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturowego UNESCO. Hlašovice, liczące niecałe 140 mieszkańców, są w większości zamieszkane na stałe, tworząc wyjątkową i żywą społeczność w środowisku wiejskim, tak jak powstało ono w drugiej połowie XIX wieku. Jest to prawie całkowicie zachowany średniowieczny system domów mieszkalnych i spichlerzy. Kompleks składa się z 23 zabytkowych osad z łącznie 120 budynkami. Osady są rozmieszczone na obrzeżach rozległego prostokątnego centrum wsi (210 x 70 metrów). Do unikalnych należą na przykład studnie z drewnianą pompą tłokową lub wiejskie podwórza nr 6, które jest siedzibą rodzinną od 1530 r. Podobnie jak we Vlkolíńcu, również w tej miejscowości można znaleźć kuźnię, gospodę i kaplicę.

Fotografie: Jozef Jurčišin

Z biegiem Dunajca, z widokiem na Trzy Korony – o początkach pienińskiej turystyki

Pieniny – niewielkie obszarowo, a tak niezwykle bogate pod względem krajobrazowym, przyrodniczym i kulturowym. Były w przeszłości schronieniem przed najazdami, miejscem pracy, ale także obiektem zachwyty i przestrzenia, gdzie już w XVIII w. zaczęła rozwijać się turystyka. Zachwycały pienińskie krajobrazy, fascynowały tutejsze jaskinie, a spieniony nurt Dunajca i możliwość pokonania go tratwami podnosił adrenalinę i przyciągał kolejnych śmiątków. Swój udział w rozwoju pienińskiej turystyki miał też rozwój uzdrowiska w Szczawnicy, którego goście ruszali na szlaki lub spływ Dunajcem. Nazwiska niektórych pionierów tutejszej turystyki trafiły do nazw ulic czy obiektów, inne schowały się gdzieś w pomroce dziejów i na kartach dawnych przewodników. Ich dzieło przetrwało do dziś.

Początki turystycznego zainteresowania Pieninami

Pieniny to według wielu opinii najbardziej po Tatrach malownicza część polskich Karpat. Z punktu widzenia historii turystyki miały zaletę, której Tatrom brakowało. Były dostępne. Niewielki region, ze względnie dobrymi jak na owe czasy drogami, którymi można było dotrzeć pod same góry, do tego ścieżki i chodniki pozwalające wchodzić w nie głębiej. Tego Tatrom zdecydowanie brakowało. Pieniny były odwiedzane przez ludzi już od czasów średniowiecza. Na skałach Zamkowej Góry wznosiła się strażnica, w której według podań miała chronić się nie tylko okoliczna ludność, ale także starosądeckie klaryski na czele ze św. Kingą, kiedy zagoni tatarskie zapuszczały się na Sądecczyznę. Przekazy mówią też, że w góry wybierała się na wędrówki sama księżna Kinga, choć źródłowego potwierdzenia na to nie znajdziemy. Pieniny z ich niezwykle bogactwem florystycznym były celem zielarskich wypraw m.in. mnichów z Czerwonego Klasztoru.

Na „prawdziwych” turystów trzeba było jednak trochę poczekać, a konkretnie do pierwszej połowy XVIII w. Już wtedy badacze zaczęli fascynować Tatry. Początkowo było to głównie zainteresowanie ich geologią i możliwością pozyskiwania surowców, ale mieszało się ono z zachwytem krajobrazami. Nie inaczej było w Pieninach. Białe zęby Trzech Koron nad spienionymi falami Dunajca to widok, który fascynował. W 1731 r. do Czerwonego Klasztoru (skąd podziwiać można jeden z najpiękniejszych widoków na Trzy Korony) dotarł badacz Tatr Georg Buchholtz. I to właśnie on odbył pierwszą udokumentowaną pienińską wycieczkę. Dwadzieścia lat później w regionie pojawiła się ekspedycja wiedeńskich naukowców pod wodzą Jakuba Buchholtza, której głównym celem było poszukiwanie skamielin m.in. w Jaskini Aksamitka, znanej ze znalezisk „kości smoków”, które w rzeczywistości były kośćmi niedźwiedzi jaskiniowych, Dursztynie i Czorsztynie. Wyprawa ta dokonała jeszcze jednego ważnego wyczynu. Profesorowie jako pierwsi pokonali pieszo Przełom Dunajca na odcinku od Czerwonego Klasztoru do Leśnicy, trasą mniej więcej odpowiadającą przebiegowi dzisiejszej Drogi Pienińskiej po słowackiej stronie.

Mniej więcej w tym samym czasie zaczęto także penetrować pienińskie szczyty. Przy czym, co warto zauważyć i dość oczywiste na tamte czasy, obiektem zainteresowania pierwszych turystów – eksploratorów były głównie pobudzające wyobraźnię Pieniny Właściwe i ewentualnie okolice Dursztyna z malowniczymi skałkami. Łagodniejsze Małe Pieniny z najwyższym szczytem Pienin, Wysoką pozostawały raczej na uboczu i były głównie terenem pasterskim, zagospodarowanym przez rusińskich



Awit Szubert, Czorsztyn od strony węgierskiej, fotografia 1876-1878, Biblioteka Narodowa, polona.pl, domena publiczna



„Kursalon” (dom zdrojowy) w Szczawnicy na pocztówce z XIX w.

mieszkańców wsi Jaworki, Szlachtowa, Biała i Czarna Woda. A tym samym dla turystów były mniej interesujące.

Pierwsi śmiałkowie, który zapuszczali się w kierunku szczytu Trzech Koron, najbardziej charakterystycznej góry w Pieninach musieli samodzielnie szukać przejść po skałach i wąskich półkach. Najprawdopodobniej, jak podaje Zofia Paryska jako pierwszy jeden ze szczytów masywu, Ganek zdobył Franz Ignatz Jaeschke czyli brat Cyprian z Czerwonego Klasztoru w 1767 r. W początkach XIX w. turyści wchodzili tylko na Ganek, a Okrąglica pozostawała poza ich zasięgiem. Pierwsze opisane wejście na ten wierzchołek miało miejsce dopiero w 1830 r. i dokonał go właściciel Nozdrzca, Franciszek Ksawery Prek wraz nieznanym z imienia panem Wojnarowskim. Prekowi zawdzięczamy także pierwsze wierne przedstawienia górali pienińskich w tradycyjnych strojach. Początek lat trzydziestych XIX w. przyniósł także wydanie pierwszego przewodnika po Pieninach i Szczawnicy. Jego autorem był Franz Herbich, który położył ogromne zasługi w badaniu flory pienińskiej i jest odkrywcą chryzantemy Zawadzkiego. Na pierwszych przewodnikach pienińskich trzeba było jednak poczekać aż 60 lat. W 1894 r. na pierwszych przewodnikach pienińskich zatwierdzono Józefa Madeja i Jacenta Majerczaka.

Szczawnica – motor pienińskiej turystyki

Choć Pieniny przyciągały turystów swoimi krajobrazami, to docierali tu jednak przede wszystkim pasjonaci z duszami odkrywców. Znacznie bardziej pociągające już na początku XIX w. wydawały się Tatry. Pieniny, jak w przypadku Seweryna Goszczyńskiego były jedynie krótkim przystankiem w drodze do tego najważniejszego celu. I pewnie Tatry zdecydowanie wygrałyby tę niepisaną rywalizację, gdyby nie mały-wielki szczegół: Szczawnica. Do początków XIX w. biedna wieś góralska „na końcu świata”.

Wystarczyło niecałe 50 lat by stała się jednym z najmodniejszych kurortów krakowskich, a częściowo i warszawskich elit, a jej goście ruszali także w Pieniny, w tym do Przełomu Dunajca.

O tym, że w Szczawnicy, czy jak wówczas mówiono w Szczawnicach wypływają kwaśne źródła miejscowi górale wiedzieli od wieków. Przyprowadzali do nich swoje stada by zapewnić im siłę i przeciwdziałać rozmaitym chorobom. Zainteresowanie medyczne szczawami z pogranicza Pienin i Beskidu Sądeckiego nadeszło jednak dopiero na przełomie XVIII i XIX w. na fali ogólnoeuropejskiej popularności podróży do wód i balneologii. Pierwszego chemicznego rozbioru wód ze Szczawnicy dokonano w początkach XIX w., a w 1820 r. pole ze źródłami kupił Jan Kutschera. Wybudował pierwsze łaźienki mineralne, próbował butelkować i sprzedawać tutejsze wody, ale sukcesu nie odniósł. Podupadłe uzdrowisko kupił w 1828 r. Józefina Szalay, żona Stefana Szalaya, a w 1839 r. majątek przejął ich syn Józef.

I tu właśnie najlepiej widać czym jest dla takiego miejsca dobry gospodarz. Józef, prywatnie szwagier Karola Klobassy ze Zręcina, w przyszłości współzałożyciela pierwszej kopalni ropy w Bóbrce, był człowiekiem renesansu, choć twardo stapiającym po ziemi i sprawnie poruszającym się w zawiłościach zarządzania uzdrowiskiem. Z podróży do krajów alpejskich przywiózł idee budowy uzdrowiska w stylu „szwajcarskim”, z drewnianą, idylliczną zabudową, którą sam zaprojektował, z kariery urzędniczej wziętą skrupulatność i umiejętności zarządzania majątkiem. Dołożył do tego zmysł „marketingowca”, dzięki któremu w kilka lat przyciągnął do Szczawnicy przedstawicieli elit z Krakowa, a Szczawnica zaczęła być też zauważana w Warszawie. Dla swoich gości wydał przewodnik po Pieninach z własnoręcznymi rycinami, wody mineralne butelkował i wysyłał do miast, by zachęcić do przyjazdu, sprowadził do Szczawnicy Józefa Dietla, który szybko stał się jej gorącym orędownikiem, organizował życie towarzyskie, zapraszał literatów, zespoły muzyczne i grupy teatralne. Był w końcu pomysłodawcą zorganizowanego spływu Przełomem Dunajca, a jego niezrealizowanym za życia marzeniem było połączenie Szczawnicy z Czerwonym Klasztorem drogą wzdłuż Przełomu.

Za rządów Józefa Szalaya Szczawnica rozkwitła. Dla tutejszych kuracjuszy grała m.in. grupa teatralna z Heleną Modrzejewską, na kuracje i dla wypoczynku przyjeżdżali Henryk Sienkiewicz, Maria Konopnicka, której wiersze pienińskie otworzyły drzwi do kariery jako poetce i pisarce nie tylko książek dla dzieci, Adam Asnyk, Wincenty Pol oraz malarze Jan Matejko czy Wojciech Gerson. Jedne z pierwszych fotografii pienińskich zawdzięczamy Franciszkowi Wyspiańskiemu, który Sokolicę fotografował z sunącej po falach Dunajca flisackiej tódki oraz Awitowi Szubertowi, krakowskiemu fotografikowi, częstemu gościowi Szczawnicy. Od 1867 r. filia jego krakowskiego atelier działała w Dworcu Gościńnym.

Umierając w 1876 r. Józef Szalay przekazał swoje ukochane uzdrowisko krakowskiej Akademii Umiejętności. Robił to w dobrej wierze, licząc na dalsze sprawne zarządzanie. Niestety, Akademia nie miała ludzi, którzy mogliby zarządzać uzdrowiskiem i wkrótce zaczęło ono podupadać. Drugie życie dał mu hrabia Adam Stadnicki z Nawojowej, który kupił majątek w 1909 r. Rozpoczęła się wielka modernizacja, do Szczawnicy wrócili goście, a tutejsze Inhalatorium było wówczas najnowocześniejszym tego typu obiektem w Europie. Zasługi Stadnickich dla Szczawnicy trudno zliczyć, a w uzdrowisku aż do II wojny światowej kwi-

tło życie towarzyskie, przyciągając ponownie elity polityczne, w tym prezydentów Ignacego Mościckiego i Stanisława Wojciechowskiego, za czasów zaborów członków rodziny Habsburgów, a także przedstawicieli artystycznej bohemy Fin de siècle i dwudziestolecia międzywojennego.

Spyw Przełomem Dunajca – reklama, która stała się tradycją

Dziś sunące po Dunajcu tratwy flisackie wypełnione turystami to codzienny widok w sezonie. Jest atrakcją, bez której wielu trudno sobie wyobrazić pobyt w Pieninach. Jego historia sięga początków zorganizowanej turystyki pienińskiej. Flisacy na Dunajcu pracowali od kilkuset lat, ale zajmowali się spławianiem drewna. Początki turystycznego spywu datuje się na lata trzydzieste XIX w. Początkowo nie miał on zorganizowanej formuły. Turyści umawiali się z konkretnymi flisakami i ruszali wraz z nimi przez Przełom Dunajca. Pierwszy, pełny werwy i emocji opis takiej wycieczki zawdzięczamy Łucji Rautenstrauchowej i pochodzi on z 1839 r. O spywie pisali także Maria Steczkowska, Walerj Eljasz-Radzikowski, Henryk Ciechanowski oraz Wincenty Pol. Niezwykłe emocje towarzyszyły spywom nocnym, co zawarł w swojej relacji w „Tygodniku Ilustrowanym” Oskar Winkler.

Do roli głównej atrakcji pienińskiej wyniósł spyw Józef Szalay. Był to pomysł na urozmaicenie sezonu kuracyjnego, dodatkową rozrywkę, a także chwyt marketingowy, który miał zachęcić więcej gości do przyjazdu. Jednorazowo uczestniczyło w nim około 100 osób. Pływano na tratwach składających się z 2 do 4 połączonych dłubanek, a wycieczce towarzyszyła orkiestra. Zabierano też moździerze, z którego strzelano by słuchać echa niosącego się wśród skał przełomu. Podczas spywu lądowano na przybrzeżnych łąkach i organizowano piknik, a przy szczególnie uroczystych przepływach odwiedzano też zamek w Niedzicy, gdzie na gości czekał jego właściciel hrabia Palocsay z poczęstunkiem.

Pod koniec XIX w. spyw miał już ugruntowaną pozycję pienińskiej atrakcji, ale wciąż był organizowany nieformalnie. Powstałe w tym czasie Towarzystwo Tatrzańskie zaczęło dążyć do uregulowania działalności flisaków, głównie ze względu na bezpieczeństwo gości. Opór był jednak dość duży i dopiero w 1928 r. udało się wprowadzić odpowiedzialność flisaków za gości podróżujących tratwami, ustalić przystanki spywu czy uregulować kwestię sprzedaży biletów. Kolejne działania i wprowadzane regulacje doprowadziły ostatecznie do powołania w 1934 r. Polskiego Stowarzyszenia Flisaków Pienińskich, które działa do dziś.

Na drugim krańcu Pienin – Drohojowscy i pierwsze pienińskie schroniska i szlaki

Gdy sława Pienin i Szczawnicy była już ugruntowana, na drugim końcu regionu, w Czorsztynie rozpoczęły się kolejne zmiany. Właścicielem miejscowości był Stanisław Drohojowski, społecznik, działacz lokalny, autor przewodnika po Pieninach. W 1888 r. na jego działce w Sromowcach Niżnych wybudowano pierwsze pienińskie schronisko „Szczawnica”, a w 1893 r. był jednym z inicjatorów założenia Oddziału Pienińskiego Towarzystwa Tatrzańskie. Drohojowski przyczynił się także do budowy i działania kolejnych pienińskich schronisk. W 1901 r. powstało „na

Kaczem” pod Bystrzykiem schronisko im. Mikołaja Zyblikiewicza zarządzane przez Oddział Pieniński TT (spłonęło w 1915 r.), a w latach 1907-1914 działało z inicjatywy Drohojowskiego schronisko w leśniczówce w Sromowcach Niżnych. Rok 1907 przyniósł także budowę schroniska Sienkiewicza pod Ryglami Sokolicy, które w 1931 r. przemianowano na Gospodę Pieńską. Od imienia żony Drohojowskiego, Anny nazwano Schronisko Andzia pod Trzema Koronami na Polanie Pieniny funkcjonujące od 1895 do 1938 r.

Powołanie Oddziału Pienińskiego Towarzystwa Tatrzańskiego zapoczątkowało znakowanie i zabezpieczanie szlaków pienińskich. W 1900 r. założono klamry i łańcuchy ułatwiające wejście na szczyt Trzech Koron. W 1906 r. pierwszy pieniński przewodnik Józef Madeja i Zygmunt Tałasiewicz wyznakowali pierwszy szlak pieszy w Pieninach. Żółte znaki poprowadziły turystów dawnym traktem z Krościenka do Sromowiec Niżnych przez Przełęcz Szopka. Jednocześnie niebieskimi krzyżykami oznakowano wejście z Przełęczy Szopka na Trzy Korony. Rok później Kazimierz Sosnowski wyznakował zielony szlak z Krościenka na Przełęcz pod Sokolicą, a samą Sokolicę, Czertezik, Czerwone Skały i Okrąglicę zabezpieczono metalowymi barierami. W dwudziestolecie międzywojennym w Pieninach działał ksiądz Walenty Gadowski, twórca słynnej Orlej Perci, który wytyczył tu najpierw Skalną Percę na Ryglach Sokolicy, zlikwidowaną po założeniu Pienińskiego Parku Narodowego w 1932 r. oraz istniejącą do dziś Sokolą Percę prowadzącą grzbietem Pieninek.

Swoją działalność w zakresie turystyki Stanisław Drohojowski kontynuował w dwudziestolecie międzywojennym. Wybudował osadę turystyczną Nadzamecz w Czorsztynie, która w latach trzydziestych przyjmowała w sezonie ponad 1300 gości. Na wakacje przyjeżdżała tu m.in. marszałkowa Piłsudska z córkami, a także Melchior Wańkowicz. W 1924 r. Drohojowski założył pierwszy pieniński rezerwat przyrody obejmujący tereny wokół ruin zamku w Czorsztynie.

* * *

Pionierzy pienińskiej turystyki mieli różne cele i kierowały nimi różne pobudki. Dla jednych były to po prostu wyzwania i chęć przeżycia kolejnej przygody, inni traktowali je jako pole działalności naukowej, jeszcze inni związali z nimi całe swoje życie. Wszyscy mają swoje miejsce w historii poznawania tego niezwykłego regionu, a wiele ich dzieł przetrwało próbę czasu i służy turystom do dziś.

Bibliografia

1. Biesik T., *Schroniska górskie dawniej i dziś: Beskid Makowski, Beskid Wyspowy, Gorce, Pieniny i Beskid Sądecki*, Bielsko-Biała 2013.
2. Majcher J., *Tatry i Pieniny. Śladami pierwszych turystów i fotografów*, Opole 2017.
3. Miśkowiec A., *Miedzy naturą a historią: Pieniny w piśmiennictwie polskim 1830–1914*, Kraków 2013.
4. Nyka J., *Pieniny*, Łączęw 2019.
5. Węglarz B.A., *Spacerkiem po Starej Szczawnicy*, Pruszków 2011.
6. Węglarz B.A., *Awit Szubert – szczawnickie atelier*, Szczawnica 2010.
7. Węglarz B.A., *Szalay 1802–1876*, Szczawnica 2017.
8. Żmizdiński J., *Pieniny w literaturze polskiej*, Poznań 2010.
9. „Pieniny, przyroda i człowiek”, Pieniński Park Narodowy.
10. „Prace Pienińskie”, Komisja Turystyki Górskiej Zarządu Głównego PTTK.
11. „Wierchy”.

Agnieszka Majba-Pochwat

Fenomen Karpackiego Jarmarku pokazali w Rymanowie-Zdroju

Nie chcą odtwarzać tradycji, chcą ją wskrzesić i pozwolić, by osiadła na stałe w nowych czasach. Bo dawne jarmarki nie powrócą, ale te współczesne mogą być ich dobrą kontynuacją. Tak jak „Karpacki Jarmark u Wód” zorganizowany równoległe z Festiwałem „Filmozdroje 2025” w Rymanowie-Zdroju.

– Popatrz, synku: to jest kowal. Kowal pracuje w kuźni, a to, w co uderza tym wielkim młotem, to kowadło – młoda mama cierpliwie tłumaczy kilkuletniemu chłopcu scenę, którą obserwują razem w grupie widzów podziwiających pracę kowala.



Kowal Piotr Piszczek zaprezentował technikę stosowaną w karpackich kuźniach od stuleci

Prawdziwe widowisko, z żywym ogniem i sypiącymi się spod młota iskrami, przyciąga wielu zainteresowanych, mimo że z nieba leje się żar, a przy zaaranżowanej na rymanowskim deptaku kuźni jest jeszcze cieplej od paleniska.

To jeden z fenomenów jarmarku, można zobaczyć tu na żywo pracę rzemieślników i artystów, którzy hołdują tradycji przekazywanej z pokolenia na pokolenie.

– W kowalstwie od średniowiecza nie zmieniło się nic. Te same narzędzia, te same techniki. Jedyna różnica to taka,

że teraz korzystamy z prądu – wyjaśnia publiczności Piotr Piszczek, który na „Karpacki Jarmark u Wód” przyjechał z Chmielowa koło Tarnobrzega.

Uważa, że imprezy takie jak ta, to nie tylko sposób na zdobycie zainteresowania klientów, ale także promocja zawodów, które odchodzą w zapomnienie.

Jarmarki mają w Karpatach długą historię wpisaną w dzieje całych pokoleń i związaną z ogólną tradycją jarmarków w Europie Środkowej, która sięga średniowiecza. Charakteryzowała się przede wszystkim wielodniowym handlem, a z czasem ewoluowała w imprezy o charakterze kulturalno-rozrywkowym. Karpaty, jako region o dużym znaczeniu handlowym, już dawno temu gościły jarmarki, które sprzyjały wymianie towarów i usług, a także interakcjom społecznym. Wraz z rozwojem cywilizacyjnym jarmarki zaczęły skupiać się na lokalnych produktach, rzemiośle i wyrobach powstałych wedle tradycyjnych receptur i z użyciem starodawnych technik.

„Karpacki Jarmark u Wód” zaskoczył różnorodnością. Czego tu nie było?! Od drewnianych misek po szlachetną ceramikę. Od znakomitych serów po wyborne wina. Od słodkich miodów po cierpkie owoce dzikiej róży. A wszystko to zmieszane w wielkim jarmarczonym tyglu, podlane chochlą porywającej muzyki i doprawione gwarem rozmów i dobrą energią spotkań.

Marek i Monika Teślukowie przyjechali z Nowicy. On to rękodzielnik, wyrabia instrumenty muzyczne, do Rymanowa przywiózł fletnie Pana, które wyszły spod jego ręki. Nie jest to wprawdzie instrument przypisany karpackiej muzyce, za to wyroby żony pana Marka mocno wpisane są w kulinarną tradycję regionu. Na straganie pyszności z dzikiej róży: konfitury z płatków, owoce w marynacie, płatki w cukrze. Przetwory wyrabia w taki sam sposób, jak robiły to kobiety 100 lat temu i wcześniej. Oboje chwalą ideę jarmarku, a Marek Teśluk nazywają ją przyszłościową.

– Mamy tu takie towary, które nie nadają się do sprzedaży w sklepie. Dla nas sprzedawców i wytwórców jarmarki mają jeszcze i taką zaletę, że możemy tu handlować bez opłat, co przy pracy rękodzielniczej i niewielkich zarobkach jest bardzo istotne – mówi.

Na rymanowskim deptaku tradycja zderza się z nowym. Ale zupełnie bezkolizyjnie, czego przykładem oferta małej

rodzinnej firmy Bosco z Brzozowa. Na pomysł produkcji kombuchy, napoju z fermentowanej herbaty Sylwia Wątróbska z mężem wpadli szukając zamiennika alkoholu. – Przyjemnie musuje, jest smaczna i bardzo zdrowa – zachwala pani Sylwia. I choć pochodząca z Chin kombucha nie była znana w tej części świata, miała przecież i ma swój tutejszy odpowiednik: kwas chlebowy, najbardziej popularny w Ukrainie. Czy kombucha przyjmie się w Beskidzie? Są na to widoki, bo w firmie Bosco powstaje właśnie receptura beskidzko-bieszczadzkiej wersji tego napoju. I nie będzie to, jak zdradza Sylwia Wątróbska, tylko kwestia nazwy nowego produktu. – Zamierzamy ją robić z wykorzystaniem wierzbowki, rośliny która powszechnie występuje na tych terenach – mówi.

Jej niewielkie stoisko doskonale komponuje się z tymi, gdzie oferowane są bardziej tradycyjne karpacie wyroby. Takie rzeczy możliwe są tylko na jarmarku, którego wizytówką jest różnorodność. Ale nie byle jaka. – Wszystko zależy od organizatorów, od tego, na co stawiają. Tu nie ma plastikowych chińskich zabawek, są rzemieślnicy z własnymi wyrobami, a często i z warsztatami. To, co sprzedają, wychodzi spod ich ręki na bieżąco, na oczach kupujących – mówi Krzysztof Rodak, w całym Beskidzie znany jako Roncz, właściciel pracowni RonczArt.

Mieszka w Lubli, ale – co podkreśla – pochodzi z Jasła i definiuje się jako lokalny patriota. I kultywator tradycyjnego na tych ziemiach rzemiosła, jakim były łyżkarstwo i miskarstwo. – Robię ręcznie, również tu na miejscu. Proszę, oto tradycyjne narzędzia: dłuta, ciosło. Ludzie mają okazję przyrzeć się tej pracy. Podchodzą, pytają. To jest największa zaleta takiego jarmarku: kontakt z człowiekiem, z klientem – przekonuje.

Według niego, jarmarki takie jak ten, to przyszłość, bo ludzie powoli wracają do tradycji, do tego, co może przetrwać kilkanaście lat i zastąpić jednorazową tandetę. – Taki drewniany talerz kosztuje więcej, ale jest odporny na zniszczenia. Myty kilka razy



Jarmark to także miejsce spotkań i pielęgnowania relacji. Na zdjęciu organizator jarmarku Janusz Górnicki (drugi z prawej), Justyna Warecka (prezes Stowarzyszenia w Krainie Źródeł), Stanisław Jaskółka (trzeci z lewej) w towarzystwie członków huculskiego zespołu Czeremosz im. Romana Kumtyka

dziennie i systematycznie używany, będzie służył nawet i 8 lat – wyjaśnia Krzysztof Rodak. Po czym wraca do pracy, podczas której wióry lecą dosłownie, nie w przenośni.

Przy stoisku Mateusza Ociasa, artysty z Dukli, prawie przez cały czas kręcą się ludzie. Nawet jeśli nie po to, by kupić, to żeby zobaczyć, jak powstają linoryty. Bo jarmark to także miejsce przyjazne sztuce. – Jarmark jest dla mnie niezwykle cenną przestrzenią. Jako początkujący artysta linorytnik mogę w nim nie tylko zaprezentować swoje litografie i opowiedzieć o technice linorytu, ale także spotkać ludzi twarzą w twarz, co jest dziś coraz większą rzadkością.



Jan Malisz, grający na lutni korbowej znalazł czas na rozmowę z Agnieszką Bąk, która na jarmark wraz z mężem Wilhelmem przywiozła własnoręcznie robioną ceramikę



Zespół Czeremosz im. Romana Kumłyka – czarodzieje karpackich dźwięków

To naturalny sposób na budowanie rozpoznawalności, mojej nowej formy artystycznej wypowiedzi i dotarcie do odbiorców bez pośredników, a jednocześnie okazja do wymiany doświadczeń z innymi twórcami – tłumaczy Mateusz Ocias.

I dodaje, że szczególnie ważna jest dla niego sposobność pokazania linorytu najmłodszym: dzieciom i młodzieży dorastającym w świecie technologii i mającym coraz mniej styczności z rękodzielnictwem. – Możliwość dotknięcia matrycy, zobaczenia procesu wycinania, odbijania grafiki i samodzielnego spróbowania tego, daje młodemu pokoleniu doświadczenie unikalne i rozwijające, bo uczy cierpliwości, uważności i pokazuje, że sztuka może powstawać w prosty, manualny sposób. Ku mojemu zaskoczeniu, duże zainteresowanie wykazują też rodzice i dziadkowie. Widać, że chętnie wracają do takich tradycyjnych form, bo przypominają im o dawnych umiejętnościach zdobywanych na zajęciach technicznych w szkołach i dają okazję do wspólnego przeżywania czegoś wartościowego z młodszymi pokoleniami – przekonuje.

Prawdziwy karpacki jarmark nie byłby kompletny bez muzyki. Muzykantów nie zabrakło także w Rymanowie-Zdroju. I to nie takich z przebojami granymi w komercyjnych stacjach radiowych, a z prawdziwą muzyką: z własnej duszy i serca Karpat. Uczestnicy jarmarku mieli, być może

jedyną okazję posłuchać dźwięków liry korbowej, instrumentu znanego już w średniowieczu. A to dzięki Janowi Maliszowi, który nie tylko gra, ale także wytwarza instrumenty. – Jarmark jest zaspokojeniem atawistycznej potrzeby spotykania się, bycia razem. A dla artysty także miejsce performanc'u – wyjaśnia.

Nie tylko gra, ale i śpiewa. Ze świadomością, że jego twórczość jest ceniona przez słuchaczy. Ma na to dowody, bo takie wydarzenie, jak to jest miejscem naturalnej weryfikacji. – Jeśli się podobą, ludzie zatrzymują się, słuchają, wrzucą coś do kapelusza – tłumaczy ten prosty mechanizm. Przyjechał z Męciny koło Gorlic, gdzie prowadzi rodzinną kapelę i pracownię wyrobu tradycyjnych instrumentów.

Prawdziwą gratką dla miłośników rdzennej muzyki z Karpat był koncert zespołu Czeremosz im. Romana Kumłyka z Werchowiny na Huculszczyźnie.

– To kontynuacja starodawnej muzyki huculskiej, pasterskiej, która wywodzi się z połonin – tłumaczył przed koncertem Józek Sowa, jeden z członków grupy.

Występ na scenie rymanowskiego amfiteatru nie był jedyny, bo kapela koncertów zagrała kilka. Bezpośrednio przy parkowej alejce, gdzieś pod drzewem, przy straganie – jak nakazuje jarmarkowa tradycja. I warto zaznaczyć, że niejedna para poderwała się do tańca przy dźwiękach skrzypiec, cymbałów, barabanu, akordeonu i instrumentów pasterskich.

– To muzyka, która nie wyrosła z filharmonii, a wyrosła z tradycji, z serdecka¹ i tego, co jest w pamięci kuferku. Z nut, co powstawały na Huculszczyźnie – mówił o tym graniu Stanisław Jaskółka, prowadzący wydarzenie.

Przez całe trzy dni w Rymanowie-Zdroju rozstawione były stragany z wszelakim dobrem, jakie oferują lokalni wytwórcy. Nie zabrakło klientów, co tylko potwierdza, że organizatorzy obrali dobry kierunek.

– To nie jest sztucznie stworzone wydarzenie, a podtrzymanie tradycji. W dobie masowej produkcji, gdzie kontakt między wytwórcą a klientem został całkiem zatracony, tu mamy do czynienia z prawdziwą wartością w postaci relacji – mówi Janusz Górnicki ze Stowarzyszenia w Krainie Źródeł, pomysłodawca i admirator „Karpackiego Jarmarku u Wód”.

Zwraca uwagę, że wydarzenie spełnia nie tylko handlową rolę, choć ta w tym przypadku jest wyjątkowo ważna, bo nastawiona na bezpośredni kontakt. To także zjawisko społeczne i kulturalne. Fenomen spotkań, rozmów, bycia razem, który tak pięknie się odradza. ■

„Karpacki Jarmark u Wód” to „Karpacka inicjatywa lokalna” finansowana ze środków otrzymanych od Narodowego Instytutu Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego w ramach Rządowego Programu Fundusz Inicjatyw Obywatelskich NOWEFIO na lata 2021–2030 za pośrednictwem Stowarzyszenia „Pro Carpathia”.

¹ Serdecko – gwarowo: serce.

Lidia Widak

IV Ogólnopolski Festiwal Uniwersytetów Ludowych

30 sierpnia 2025 roku na terenie miasteczka galicyjskiego w Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku odbył się IV Ogólnopolski Festiwal Uniwersytetów Ludowych. To wyjątkowe wydarzenie zgromadziło przedstawicieli uniwersytetów ludowych z całej Polski, a także mieszkańców Podkarpacia i turystów, którzy przyszli, by wspólnie świętować bogactwo tradycji, kultury i idei uniwersytetów ludowych.

Organizatorami festiwalu byli: Uniwersytet Ludowy Rzemiosła Artystycznego, Bieszczadzki Uniwersytet Ludowy oraz Ogólnopolska Sieć Uniwersytetów Ludowych.

W wydarzeniu brali udział przedstawiciele różnych ośrodków z całego kraju, w tym:

- Zachodniopomorski Uniwersytet Ludowy
- Uniwersytet Ludowy Twórczych Inicjatyw
- Uniwersytet Ludowy Kultury Fizycznej
- Kaszubski Uniwersytet Ludowy
- Nadbałtycki Uniwersytet Ludowy
- Stowarzyszenie Ekologiczno-Kulturalne Ziarno
- Ekologiczny Uniwersytet Ludowy w Grzybowie
- Uniwersytet Ludowy w Radawnicy
- Leśny Uniwersytet Ludowy
- Morski Mobilny Uniwersytet Ludowy
- Rieczny Uniwersytet Ludowy
- Uniwersytet Ludowy Naturoterapii w Krainie Vesny
- Karpacki Uniwersytet Ludowy

Program festiwalu był niezwykle różnorodny i pozwalał każdemu znaleźć coś dla siebie. Na scenie muzycznej wy-

stąpili m.in. „Widymo”, Jonasz Marciniewicz i Katarzyna Jakowska-Enemu, „Wernyhora”, „Entre dos Aguas un Teatro”, a także Angela Gaber & Tomasz Dybała. Równolegle w sali edukacyjnej odbywały się spotkania i wykłady. Można było wysłuchać m.in. refleksji o koncepcji „szkoły dla życia” Mikołaja Grundtviga, poznać nieznane oblicze Kaszub Północnych, a także dowiedzieć się, czym są innowacyjne metody edukacji dorosłych. Sporą popularnością cieszyły się warsztaty śpiewu prowadzone przez Darię Kosiek z zespołu Wernyhora. Zwieńczeniem dnia była potańcówka.

Od godziny 14.00 na stoiskach warsztatowych można było spróbować swoich sił w wielu dziedzinach. Przedstawiciele uniwersytetów ludowych zapraszali do wspólnego tworzenia i odkrywania tradycyjnych technik rzemieślniczych oraz współczesnych form twórczości. Uczestnicy uczyli się m.in. filcowania na sucho, tworzenia makramowych breloczków, lepienia kul nasiennych, robienia kadzi-deł czy pisania listów piórem i atramentem z użyciem laskowych pieczęci. Nie zabrakło również atrakcji dla miłośników muzyki i sztuki – można było zobaczyć pokaz instru-

mentów latynoamerykańskich, spróbować malowania na tkaninie, przygotować amulet szczęścia czy stworzyć własną pamiątkę z Bieszczadów. Warsztaty cieszyły się ogromnym zainteresowaniem – odwiedzający przez cały czas zatrzymywali się przy stoiskach, pytali, próbowali i tworzyli własne małe dzieła. Dzięki zaangażowaniu instruktorów każdy, niezależnie od wieku i doświadczenia, mógł wziąć udział i wynieść z festiwalu nie tylko piękne pamiątki, ale przede wszystkim nowe umiejętności i inspiracje. To właśnie ta żywa, praktyczna edukacja, którą uniwersytety ludowe promują od lat, nadała warsztatom wyjątkowy charakter i sprawiła, że stały się one jednym z najchętniej odwiedzanych punktów programu.

Podczas festiwalu otwarto także wystawę poświęconą postaci Ignacego Solarza (1891–1941)



Warsztaty filcowania na sucho prowadzone przez Karpacki Uniwersytet Ludowy



Debata w Rozpuciu



Występ zespołu „Widmo”

czeniu uniwersytetów ludowych we współczesnym świecie.

Festiwal poprzedziło spotkanie, które odbyło się 29 sierpnia w siedzibie ULRA w Woli Sękowej. Do Podkarpacia przyjechali przedstawiciele 16 uniwersytetów ludowych z całej Polski, m.in. z Kaszub, Pomorza, Mazowsza czy Podkarpacia. Była to świetna okazja do rozmów, wymiany doświadczeń i wspólnego zastanawiania się nad przyszłymi działaniami.

Na spotkaniu nie brakowało miejsca na kreatywny relaks. Instruktorzy i absolwenci ULRA zorganizowali różnorodne warsztaty, które przez cały czas przyciągały licznych uczestników. Można było własnoręcznie umotać lalkę motankę z Ewelina Matusiak „Calineczką”, spróbować linorytu z Bartoszem Rejmakiem, malować ikonę pod okiem Agnieszki Dusznik czy uczyć się szycia koszy ze słomy z Pauliną

– wybitnego działacza społecznego, pedagoga, uznanego za jednego z twórców ruchu uniwersytetów ludowych w Polsce. Ekspozycja przybliżała uczestnikom życie i działalność Solarza, a także jego ogromny wpływ na rozwój idei edukacji dla dorosłych i wychowania przez kulturę.

Na uczestników czekało także kino, gdzie przez cały dzień wyświetlano filmy opowiadające o działalności uniwersytetów ludowych i bogactwie lokalnych tradycji oraz dziedzictwie kulturowym. Wśród tytułów znalazły się m.in. *Dziedzictwo Karpat*, *Rybackie tradycje Nordowych Kaszub* czy *Czas Odry*.

Rano, w dniu festiwalu, wybraliśmy się do Rozpucia, aby poznać lokalizację Bieszczadzkiego Uniwersytetu Ludowego. Podczas wizyty mieliśmy okazję nie tylko zobaczyć przestrzeń, w której działa ta instytucja, ale również wziąć udział w inspirującej debacie poświęconej roli i zna-

Adamską z Serfenty. Dużym zainteresowaniem cieszyło się też malowanie na szkle prowadzone przez Katarzynę „Luškę” Onacko. Dla tych, którzy chcieli wejść w świat etno-stylu, czekały kolorowe stroje i dodatki przygotowane przez Marię „Maniuhnę” Kondrad, Pracownię Artystyczną Splot Joanny Rey, Mirandy etno-folki słowiańskie oraz Oksanę Sokol.

Szczególnym punktem warsztatów było wspólne malowanie portretu Mikołaja Grundtviga, ojca idei uniwersytetów ludowych. Pod kierunkiem Jana Szczepana Szczepkowskiego powstało dzieło, w którego tworzeniu mógł wziąć udział każdy – i dorośli, i dzieci.

Wieczorem spotkanie przeniosło się przy ognisko – były piosenki, muzyka, tańce. Atmosferę uświetnił koncert Katarzyny Jackowskiej-Enemu i Jonasza Marciniewicza, którzy wprowadzili wszystkich w kameralny, muzyczny nastrój. To właśnie takie chwile pokazują, że w uniwersytetach ludowych najważniejsza jest nie tylko nauka, ale też bycie razem i radość ze wspólnego działania.

IV Ogólnopolski Festiwal Uniwersytetów Ludowych w Sanoku udowodnił, że idea uniwersytetów ludowych – otwartej edukacji, zakorzenionej w kulturze i tradycji – wciąż jest żywa i inspirująca. To nie tylko miejsce spotkań i nauki, ale także przestrzeń budowania więzi, odkrywania dziedzictwa i radości ze wspólnego działania. ■



Makramowe breloczki

Wydarzenie zostało sfinansowane ze środków Narodowego Instytutu Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego w ramach Programu Wspierania Rozwoju Uniwersytetów Ludowych.

Fotoreportaż

Metsovo

Jest to ważny ośrodek tożsamości wołoskiej w Grecji, położony w górach Pindos, gdzie do dziś można doświadczyć tego bogatego dziedzictwa kulturowego poprzez tradycyjne rzemiosło i architekturę. Wołosi to zbiorcza nazwa grup etnicznych z Bałkanów, które pierwotnie posługiwały się językami wschodnioromańskimi, a ich kultura jest silnie związana z górami, co widać w tradycjach Metsovo.

Fotografie: Krzysztof Staszewski



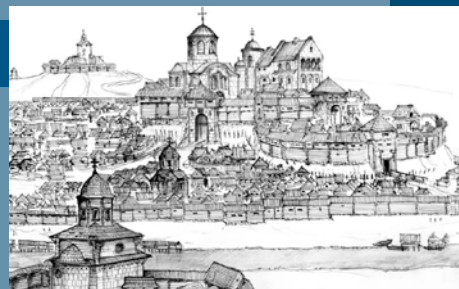
Kostas Balafas jest jednym z czołowych greckich przedstawicieli fotografii w okresie powojennym. W czasie II wojny światowej był żołnierzem Greckiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej i uwieczniał na zdjęciach postępy armii greckiej na froncie albańskim, niemiecką okupację Grecji, a także wojnę domową. Dużo podróżował po Grecji, aby fotografować i filmować aspekty życia na wsi oraz codzienne zmagania zwykłych ludzi klasy robotniczej.

Zdjęcia prezentowane na wystawie „METSOVO LOST” zostały wykonane podczas kolejnych wizyt Balafasa w regionie Metsovo, głównie w latach 60. i 70. XX wieku. Stanowią one część większej kolekcji 150 fotografii przekazanych Muzeum Averoffa przez Fundację Egnatli Epirus.



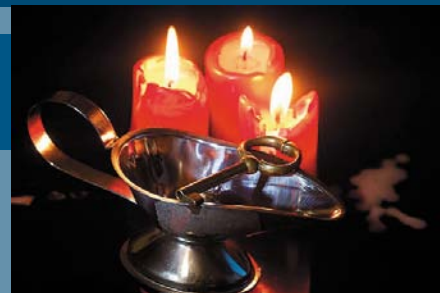
Stanisław Kryciński „Pogórze Przemyskie – historia i zabytki”

Bogatą historią Pogórza Przemyskiego oraz najcenniejsze zabytki, które kształtują jego kulturowy i krajobrazowy charakter przybliży Stanisław Kryciński, krajoznawca, autor popularnych przewodników turystycznych, opracowań krajoznawczych oraz licznych artykułów. Od 1977 r. należący do Studenckiego Koła Przewodników Beskidzkich w Warszawie (członek honorowy) i od 1990 r. do Towarzystwa Karpackiego. W latach 1983–1999 działał w Społecznej Komisji Opieki nad Zabytkami Sztuki Cerkiewnej przy Zarządzie Głównym Towarzystwa Opieki nad Zabytkami. W latach 1991–2008 właściciel niezależnego Wydawnictwa Stanisław Kryciński, wydającego książki z zakresu krajoznawstwa, turystyki, historii i etnografii. W ramach Akcji Opis, prowadzonej przez SKPB w Warszawie, zorganizował w latach 1980–1986 sześć dwutygodniowych obozów pod wspólną nazwą „Nadsanie”. Ich uczestnicy prowadzili inwentaryzację krajoznawczą wsi na terenie Pogórza Przemyskiego i Bieszczadów. Działając w Społecznej Komisji Opieki nad Zabytkami Sztuki Cerkiewnej zorganizował w latach 1987–1998 piętnaście obozów konserwatorskich, w czasie których uczestnicy odnawiali opuszczone cmentarze na terenach południowo-wschodniej Polski (w Bieszczadach i Beskidzie Niskim). W 2000 roku wyróżniony odznaką „Zasłużony Działacz Kultury” przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.



Karolina Surówka „Na świętego Andrzeja wszystkim pannom nadzieja” – wróżby andrzejkowe w Karpatach

O tradycyjnych wróżbach andrzejkowych, ich symbolice oraz znaczeniu zwyczajów związanych z nocą świętego Andrzeja w Karpatach opowiada Karolina Surówka, sanoczanka z pochodzenia i wyboru. Absolwentka etnologii i prawie religioznawstwa (absolutorium, ale bez obrony pracy magisterskiej) na UJ. Po studiach zatrudniona jako wykładowca w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej w Sanoku (10 lat w zakładzie Kultury Krajów Karpackich, w tym kilka lat jako kierownik tegoż zakładu), oraz jako wykładowca etnografii w Uniwersytecie Ludowym Rzemiosła Artystycznego w Woli Sękowej (też około 10 lat). Od 2016 roku pracownik Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku (aktualnie adiunkt w dziale kultury ludowej). Prywatnie fascynuje ją kicz religijny i kuchnia (zwłaszcza regionalna). Uwielbia koty, książki, pływanie i wędrowanie po górach – efektem tej ostatniej namiętności jest odznaka przewodnika beskidzkiego.



Katarzyna Winnicka „Ikony od XV do XIX w. ze zbiorów Muzeum Historycznego w Sanoku”

Prezentacja ikon od XV do XIX wieku ze zbiorów Muzeum Historycznego w Sanoku oraz ich znaczenie religijne i artystyczne. Wykład prowadzi Katarzyna Winnicka, mieszkanka Sanoka od 1983 r. Absolwentka Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego na kierunku historia sztuki. Od 1990 r. zatrudniona w Muzeum Historycznym w Sanoku jako historyk sztuki na stanowisku kustosa w Dziale Sztuki, następnie w Dziale Sztuki Cerkiewnej. Wykładowca w latach 2002–2005 w Państwowej Wyższej Szkole Zawodowej im. Jana Grodka w Sanoku. Organizatorka wielu wystaw czasowych malarstwa, grafiki, fotografii i rzeźby, oraz wystaw stałych: Ceramika pokucka ze zbiorów Muzeum Historycznego w Sanoku, Galeria Mariana Kruczka. Zrealizowała m.in. wystawy: Salon Artystów Sanockich, Władysław Szulc – malarstwo; Anna Maria Pilszak – malarstwo; Kazimierz Florek – projekty polichromii kościołów; Artur Olechniewicz – malarstwo, Maria i Jan Szczepkowscy – malarstwo, grafika.



Andrzej Łuczak „Dzieje Romów na ziemiach polskich ze szczególnym uwzględnieniem pogranicza PL-SK-UA”

Hipotezy dotyczące pochodzenia Romów, charakterystyczne cechy ich historii, główne filary kultury romskiej oraz wędrówkę tego niezwykłego ludu na przestrzeni wieków prezentuje Andrzej Łuczak, absolwent 5-letnich studiów magisterskich oraz 4-letnich studiów doktorskich na kierunku historia na Uniwersytecie Zielonogórskim oraz 3-letnich studiów licencjackich na kierunku administracja publiczna w dawnej PWSZ Sulechów. Historyk, politolog, nauczyciel i wykładowca akademicki. Działacz w obszarze polityki społecznej skierowanej do różnych grup narodowościowych. Autor takich publikacji jak *Sytuacja ludności romskiej na ziemi lubuskiej w XX wieku*, *Romowie na Warmii i Mazurach*.

